

W numerze: STEFAN PRAŻMOWSKI *Fortuna lukiem się toczy* ● TERESA WOJCIECHOWSKA *Piękna postać wymaga ofiar* ● ADAM OCHOCKI *Ubranko dla pana?* ● *Nie tajny mi twój los* ● Recenzje ● Felietony ● Zewsząd o wszystkim ● Nowela kryminalna

O d g ł o s y



14 (750)
2. IV. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Fot. W. Parjys

SŁONECZNYCH I ZDROWYCH ŚWIĄT!

KAROL BADZIAK

ŁÓDZKIE SZANSE

JUŻ PONAD ROK trwa realizacja wielkiego programu rozwoju i modernizacji naszego miasta. Program ten jest olbrzymią szansą dla Łodzi i dlatego z pełną uwagą śledzimy przebieg jego wykonania. Likwidacja zaniedbań gospodarczych niesie z sobą korzystne zmiany również w sferze społecznej, społecznej i kulturalnej. Nowa droga, na którą wstąpiliśmy, jest pełna nadziei i niecierpliwości. Nic dziwnego, to przecież punkt zwrotny w krótkiej, acz bogatej, historii miasta. Wszyscy bierzemy udział w tym wielkim dziele i wszyscy jesteśmy za nie odpowiedzialni, oczywiście w różnym stopniu, zależnie od możliwości, kompetencji i stanowiska.

Widoczne są już pierwsze rezultaty. Wybudowaliśmy w ubiegłym roku ponad 23.000 izb mieszkalnych. W bieżącym roku zamierzamy wybudować przeszło 26.000. Do produkcji przystąpiła gigantyczna fabryka domów na Teofilowie, która w niedalekiej przyszłości ma sama dostarczać miastu maksymalną ilość — 13.000 izb rocznie. Przed budownictwem łódzkim stoją trudne, lecz wspaniałe zadania. Co prawda nastąpił tu w ostatnim okresie wzrost produkcji o 14 proc., a wydajności o około 5 proc., ale średnia wydajność krajowa wzrosła w tym samym czasie o 8 proc. Używając terminologii wojskowej można powiedzieć, że budowlani znaleźli się na pierwszym froncie walki o realizację programu rozwoju Łodzi. Wierzymy głęboko, że zwycięsko wyjdą z tego starcia i oddadzą w tej pięcioletce więcej, niż planowane 140.000 izb.

Poważną przeszkodą, hamującą tempo robót, jest według opinii dyrektorów i kierowników przedsiębiorstw budowlanych brak siły roboczej. Niewątpliwie przydałoby się więcej rąk do pracy, lecz gdy to jest na razie niemożliwe, należy szukać innych, nowszych rozwiązań. Oczywiście, istnieje zapewne optymalna granica wydajności pracy, ale chyba jeszcze jej nie osiągnęliśmy, więc i na tym polu istnieją rezerwy. To samo można odnieść do organizacji pracy, koordynacji, nie wspominając już o czymś tak oczywistym, jak pełniejsza mechanizacja. Nikt nie zabrania budowlanym myśleć, wprowadzać innowacje, tworzyć nowe metody, a równocześnie sięgać po stare, dobre doświadczenia. Dziś otrzymuje się premie za myślenie, a nie za narzekanie na obiektywne trudności.

Podobnie rzecz wygląda z naszymi kierownikami zakładów produkcyjnych. Nieważne, czy aż, czy tylko, ale faktem jest, że 37 zakładów przemysłowych nie wykonało w ubiegłym roku swoich planów. Niemniej wysiłek ogólny łódzkich załóg okazał się wyższy o 8,4 proc. niż w roku poprzednim. O tyle bowiem wzrosła wydajność pracy. Łączy się to automatycznie ze wzrostem płac, który wyniósł 10,7 proc. Są to liczby optymistyczne, gdyż wykazują, że potrafimy lepiej i wydajniej pracować i więcej zarabiamy. Cały nacisk kładzie się obecnie na to, żeby jednocześnie lepiej i intensywniej myśleć. Zakłady pracy winny zmieniać nie tylko technologię produkcji, lecz przede wszystkim samą technikę. Na tym polega bowiem rewolucja naukowo-techniczna w procesie, której jesteśmy nie tylko przedmiotem, ale i podmiotem.

Dalszy ciąg na str. 3

TRUDNE SPRAWY PLASTYKI

W dniach od 5 do 8 kwietnia w Poznaniu będzie obradował Ogólnopolski Zjazd Związku Polskich Artystów Plastyków. W związku z tym redakcja „Odgłosów” zwróciła się do kilku artystów łódzkich, delegatów na Zjazd, z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

- jakie problemy będą poruszane na Zjeździe i z jakimi sprawami udaje się Pan na Zjazd?
- co było treścią dyskusji przedzjazdowej w środowisku łódzkim i w sekcji, którą Pan reprezentuje?
- co Pan, jako artysta, mieszkający i pracujący w Łodzi, zaproponowałby miastu, aby wzbogacić jego estetykę i kulturę?

JERZY FRĄCZAK

— architekt wnętrz, Sekretarz Zarządu Okręgu Łódzkiego ZPAP

Jestem głęboko przekonany, że naczelnymi sprawami, które winny znaleźć odbicie w uchwałach i załączeniach Zjazdu są: po pierwsze — określenie roli plastyka w społeczeństwie socjalistycznym, po drugie — wyraźne podkreślenie społecznego i gospodarczego uczestnictwa artystów w budownictwie kraju i w rozwoju jego kultury. Po trzecie — winny być wreszcie stworzone dla naszej pracy

Dalszy ciąg na str. 3



ŚWIATA

WYBORY DO SEJMU PRL znalazły szeroki odzew w prasie zagranicznej. Dziennikarze akredytowani w Warszawie, specjalne ekipy obsługi prasowej oraz komentatorzy najważniejszych pism sięgnęli po pióra, aby odnotować wysoką frekwencję wyborczą i także poparcie dla kandydatów Frontu Jedności Narodu. Podkreślono atmosferę odprężenia i swobody, jaka towarzyszyła wyborom. W wielu publikacjach uznano je za plebiscyt za programem VI Zjazdu Partii, który przyniósł jednoznaczny aprobatę społeczeństwa polskiego. We wtorek 460 nowo wybranych posłów zebrało się na pierwszym posiedzeniu Sejmu, aby dokonać wyboru marszałka i wicemarszałków Sejmu, Radę Państwa i nowy rząd. Sejm nowej kadencji rozpoczął swą pracę. A będzie jej w czterolecie co niemiara...

Ogłoszenie wyników wyborów do Sejmu zbiegło się w naszej prasie z publikacją tekstu przemówienia LEONIDA BREŻNIEWA na zjeździe radzieckich związków zawodowych. Rzadko zdarza się, aby przemówienie jakiejś osobistości politycznej miało tak duży rezonans, jak właśnie to. Na całym świecie zapoznano czytelników z jego treścią, nie ustają komentarze. Stało się tak dlatego, że sekretarz generalny KC KPZR podjął w obszernym fragmencie swego wystąpienia najważniejsze problemy międzynarodowe, wypowiadając do nich stosunek Związku Radzieckiego. Chcemy więc dzisiaj omówić kilka kwestii z tego przemówienia.

Przyjęty przez XXIV Zjazd KPZR program w dziedzinie polityki międzynarodowej, nazwany radzieckim programem pokoju, konsekwentnie wprowadzany jest w życie. Jego pryncypialną linią jest aktywna obrona pokoju. Program ten realizowany jest wspólnie z innymi krajami socjalistycznymi. Kraje wspólnoty socjalistycznej mają uzgodnioną linię, praktycznie w odniesieniu do wszystkich podstawowych problemów polityki światowej. To właśnie ma ogromne znaczenie dla pomyslnego kierowania tą polityką.

Nawiązując do praskiego posiedzenia Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego i jego decyzji Leonid Breżniew podkreślił, że Europa znajduje się jak gdyby na progu nowego etapu. Pokojowe inicjatywy krajów socjalistycznych dopomogły do tego, że obecnie staje się możliwe rozważenie w praktyce problemów bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Konferencją ogólnoeuropejską zainteresowane są wszystkie kraje naszego kontynentu. Na udział w niej wyraziła zgodę Kanada, a Stany Zjednoczone, jak stwierdził to ostatnio Nixon, popierają ideę jej zwołania.

Wpływ na umocnienie atmosfery odprężenia w Europie mają zmiany, jakie dokonują się w stosunkach krajów socjalistycznych z NRF. Ratyfikacja układów doprowadzi do nowego stadium w rozwoju stosunków tego kraju ze Związkiem Radzieckim i Polską. Proces ratyfikacyjny w NRF nie przebiega jednak bez ostrej walki. Zdaniem przeciwników układów należałoby zrewidować te artykuły w układach, które mówią o niaruszalności granic. Wspominają oni o możliwości ponownych negocjacji. Z kim?

„Czyż nie jest jasne — oświadczył Leonid Breżniew — że przeciwnicy układów nie mają i nie będą mieć rozmów do rokowań w sprawie rewizji granic. Nie jest to temat do dyskusji, ani obecnie, ani w przyszłości”.

NRF stoi teraz przed odpowiedzialnym wyborem między współpracą a konfrontacją, rozładowaniem, a potęgowaniem napięcia, między polityką pokoju, a polityką wojny.

W kontekście problemów europejskich sekretarz generalny KC KPZR mówił także o EWG. Powstanie tego ugrupowania gospodarczego nie jest przez nas ignorowane. Świadnie obserwujemy działalność Wspólnego Rynku, a nasze stosunki z nim zależą od tego, jak kraje członkowskie EWG uznają będą interesy członków Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Indochiny i Bliski Wschód były kolejnymi tematami analizy w przemówieniu Breżniewa. W pierwszej kwestii ZSSR wypowiada się niezmiennie za przywróceniem pokoju i zapewnieniem niezawisłości narodom tego rejonu, co może stać się tylko przez wycofanie się interwentów z Indochin i położenie kresu bombardowaniu. Propozycje pokojowych rozstrzygnięć, przedstawione przez DRW i Republikę Wietnamu Południowego znajdują pełne poparcie Związku Radzieckiego. Drugi z wymienionych rejonów wciąż znajduje się pod groźbą eksplozji wojennej. Nie z winy krajów arabskich, które w sposób przekonywający dowiodły gotowości politycznego uregulowania konfliktu, lecz z winy Izraela.

Leonid Breżniew mówił również na temat wizyty Nixona w Pekinie, podkreślając, iż sam fakt odnowienia kontaktów między dwoma państwami jest zjawiskiem naturalnym. Ocena jednak obecnych kontaktów między Pekinem a Waszyngtonem zależy od tego, na jakiej podstawie będą one realizowane. Przyszłość więc podpowie, jakie należy wyciągnąć praktyczne wnioski. Jeśli chodzi o stanowisko ZSSR wobec ChRL — to jest ono stanowiskiem za przywróceniem stosunków dobrego sąsiedztwa i przyjaźni.

Zapowiedziany na 22 maja przyjazd prez. Nixona do Moskwy na rozmowy amerykańsko-radzieckie oceniony został w przemówieniu jako ważne wydarzenie, które może wpłynąć korzystnie na rozwój stosunków międzynarodowych.

„Oświadczyliśmy wcześniej i potwierdzamy to obecnie: poprawa stosunków między ZSSR i USA jest możliwa — powiedział Breżniew. — Co więcej, jest ona pożądana, jednakże, rzecz jasna, nie kosztem jakichkolwiek trzech krajów lub narodów...”.

W. SŁAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

WŁOCHY

Neofaszyści w ofensywie

„MONDE DIPLOMATIQUE” — PARYŻ

W tym, że istniejący we Włoszech system polityczny przeżywa trudności, nie ma ani nic nowego, ani nic nadzwyczajnego. Ogromna wielopartyjność (dziewięć partii), skłonność największej partii — chrześcijańsko-demokratycznej — do dwuznaczności i sprzeczności, nacisk ugrupowań ekstremistycznych, stawiających pod znakiem zapytania obecny ustroj — wszystkie te fakty, których głównym następstwem jest brak stabilności rządu, dominują w politycznym życiu kraju. Praktyka pokazała, że partie rządzące są niezdolne do rozwiązania zakresłonych zadań: opracowania i wykonania programu, wynikającego z licznych i różnicowanych potrzeb społecznych.

Nie znajdując żadnego wyjścia, większość partii „centrolewicowej” koalicji rządowej odmówiła restytucji sojuszu, który zresztą rozpadł się już po kilku miesiącach swego istnienia. Ostatnie oświadczenia ministrów w pełni potwierdzają niepokoje, które budzi pogarszający się stan włoskiej ekonomiki. Dane za rok ubiegły wskazują, że wzrost dochodu narodowego równał się praktycznie zeru (0,5 proc.) i że po raz pierwszy w latach powojennych nastąpił spadek w produkcji przemysłowej (3,3 proc.). Nawet w najbardziej zyskowej gałęzi przemysłu — produkcji samochodów — obserwuje się bilans ujemny (2,01 proc.). Wpływ tego spadku widać już na poziomie zatrudnienia. Odnotowano też i inne ujemne fakty: wzrost cen, przewyższający 5 proc. rocznie, oraz deficyt płatniczy w wysokości 900 miliardów lirów.

Niebezpieczny jest wzrost sił skrajnie prawicowych, co znalazło swój wyraz w wynikach częściowych prowincjonalnych i municypalnych wyborów, które odbyły się w czerwcu 1971 roku. Przy tym szczególnie silny wzrost liczby wyborców skrajnie prawicowego Włoskiego Ruchu Społecznego — MSI, obserwuje się w ekonomicznie zacofanych rejonach Sycylii i Katanii. Nie jest to jedyną oznaką ofensywy neofaszystów. Ogromny niepo-

kój wywołuje wzrost liczby członków neofaszystowskiego związku zawodowego, jawnie nawołującego do restauracji faszystowskiej korporacji.

Wreszcie neofaszystowska MSI zapowiada zwiększenie fali wystąpień ulicznych. Nie mówiąc już o faszystowskiej rebelii w Reddodi-Calabria, w ciągu ostatnich dwóch i pół lat tylko w samej Lombardii zarejestrowano 336 zbrojnych wystąpień faszystów, przy czym 239 w Mediolanie.

Decyzja o rozwiązaniu parlamentu, przyjęta przez prezydenta Republiki, powinna była umożliwić, rządowi, nie kontrolowanemu przez parlament, przeprowadzenie niepopularnych zarządzeń w dziedzinie ekono-

Przedterminowych wyborów jest z pewnością tylko pozorna alternatywa. Przy rozdrobnieniu w politycznym mechanizmie włoskim, jest wątpliwe, żeby wybory wniosły jakieś istotne zmiany w układzie sił. Natomiast szanse na stworzenie „centrolewicowej” koalicji zmniejszą się jeszcze bardziej.

Pozostaje jedyna istotna alternatywa, leżąca u podstaw wszystkich kryzysów politycznych we Włoszech od 1968 roku. Chodzi tu albo o przyciągnięcie do rządu krajem komunistów, nawet jeśli to nie doprowadzi do ich udziału w rządzie, albo o powrót do „centralizmu”, który spotyka się z poparciem prawicy. Między lewoem 1968 a 1970 wydawało się, że odbywa się ruch w kierunku pierwszego rozwiązania, które popierały szerokie masy społeczne i związki zawodowe, biorące udział w walce politycznej. Idea ta znajdowała pozytywny odzew i wśród socjalistów, i wśród lewego skrzydła chrześcijańskich demokratów. Jednakże zacykli sprzeciw „umiarkowanych” partii, ich kurs na utrzymanie koncepcji tzw. „izolowania” partii komunistycznej — na której to koncepcji utrzymuje się reżim od 1947 roku — spotkał się z poparciem sił ultrapravicowych, przekreślając, a przynajmniej oddalając, możliwość takiego wyjścia z impasu.

Oblężenie w Borside

„SUNDAY TIMES” — LONDYN

Któregoś dnia sierżant ulsterskiej policji zatelefonował do członka parlamentu w zabarykadowanym Borside (katolickie getto w drugim co do wielkości mieście północnej Irlandii — Londonderry), Johna Hume'a, który mieszka w samym centrum swojej dzielnicy wyborczej: „John — powiedział sierżant — mam tu dla ciebie wezwanie do sądu. Nie mógłbyś przyjechać do mnie i zabrać to? Jesteś oskarżony o udział w demonstracji w Newry, w ubiegłym tygodniu”.

„Jestem bardzo zajęty, sierżancie, — uprzejmie odpowiedział Hume. — Nie mógłbyś sam doręczyć mi tego wezwania?”

Obaj doskonale rozumieją sens tego uprzejmego dialogu. Wezwania do sądu nie doręczono Hume'owi do dnia dzisiejszego, bowiem już od ponad 6 miesięcy noga północnoirlandzkiego policjanta nie dotknęła ziemi w rejonie Borside-Kreggan. Policja mogłaby wprowadzić doręczyć Hume'owi wezwa-

niów brytyjskich, a jej sygnał podchwytują natychmiast syreny wszystkich samochodów w całym Borside. W nocy zabarykadowane wjazdy do miasta są jaszkrawo oświetlone, by nikt nie pożądanym nie przedostał się do dzielnicy.

W ten sposób Borside jest miejscem, do którego dostać się nie jest łatwo. Jak więc ominąć te wszystkie przeszkody, aby znaleźć się w tym odciętym od świata miejscu i zobaczyć, jak żyją tam ludzie? To bardzo proste. Trzeba wsiąść do niebieskiego autobusu ulsterskiej linii „S”, a on zawiezie was wprost do centrum oblężonego Londonderry. Widać od razu, iż barykady zbudowano częściowo zgodnie z wymogami obrony, a częściowo zgodnie z potrzebami komunikacji autobusowej, tak, aby mieszkańcy Borside mogli jeździć do pracy i z powrotem, żeby dzieci mogły uczęszczać do szkół, znajdujących się poza granicami rejonu, a chorzy, żeby mieli dostęp do szpitali.

Nie zamknięto też ruchu i w odwrotnym kierunku — do Borside. Dwie protestanckie piekarnie „Etons” i „Stevensons” codziennie dostarczają tutaj chleb. Samochody chłodnie przystają się do Borside przez wąskie przejścia w barykadach i jeżdżą po ulicach asfaltowych kamieniami, kanistrami po benzynie i szkłem z robitych butelek po mleku.

Trzeba przejść przez — respektowany przez obie strony — pas ziemi nicyzej, następnie minąć barykadę i oto Borside. Inny świat, o innym systemie ocen i poglądów. Przede wszystkim trudno znaleźć właściwe porównanie: czy to Berlin nazajutrz po zakończeniu II wojny światowej, czy też południowowietnamska partyzantka wieś, umocniona naprzeciwko atakom wroga penetrowana z powietrza przez nieustannie krążący śmigłowiec i otoczona wieńcem bojowych punktów obserwacyjnych?...

Hasła, tak charakterystyczne dla Borside, zarówno te stare jak i te nowe, różnią się stylem: „Wstęp do oddziałów IRA swego rejonu” — wzywa napisany odręcznie transparent. „Wysokim wydaje się tylko, że są wysocy, bo my kłęczymy. Więc wstańmy!”, „Irlandczycy, pomścimy poległych braci!”. A tu obok, w centrum tej burzy namiętności: „Warzywa i owoce oraz pasza dla zwierząt domowych” — bo przecież sklepy są otwarte i życie toczy się swoim codziennym nurtem.

Niedawno byłem w wyszynku „Borside-inn”, gdzie każdego czwartku odbywają się wieczory pieśni narodowych. Wyszynki i restauracje w Borside są otwarte w określonych godzinach. Restauracja „Telstar”, która znajduje się na wzgórzu Kreggan, kończy pracę wcześniej, aby nie budzić mieszkańców okolicznych domów. Ale „Borside-inn” i „O'Brienbar”, usytuowane bliżej centrum, są czynne do późna w nocy. Nie widziałem jednak pijanych, ani też nie słyszałem hałasów na ulicach, za wyjątkiem wystrzałów, wybuchów bomb i dźwięku tłuczonego szkła.

Bar w „Borside-inn” fantastycznie zatłoczony. Śpiwaczy stroją gitary. Wiele dziewcząt i chłopców pije lemoniadę i sok pomarańczowy. Na ścianach baru symbole walki ludu irlandzkiego, m. in. okrwawiona mapa Irlandii. Pieśni są stare, gwałtowne i spokojne, czasem niezwykle piękne. Powstała też nowa pieśń, napisana w ubiegłym tygodniu; jest poświęcona pamięci trzynastu poległych podczas demonstracji w Londonderry.

W czwartkowych wieczorach pieśni narodowych biorą udział członkowie IRA i jej sympatycy. Chociaż nazwa organizacji rzuca się w oczy ze wszystkich murów Borside, ludzie w rozmowach unikają wymieniać nazwy „IRA”. Mówią o niej: „chłopcy”, albo: „no, wie pan, ci chłopcy”, albo bardziej oficjalnie: „ruch”.

Wracając z Borside do hotelu mijalem czarne szkielety spalonych domów, przez które przeświecały obojętne gwiazdy, widziałem żołnierzy brytyjskich, patrolujących granicę getta. Powracałem do innego świata, do innego systemu ocen i wyobrażeń.

Kosmiczne roboty

„THE ECONOMIST” — LONDYN

Na razie bardzo ryzykowne byłoby wysłanie ludzi w górskie rejony księżycy, ponieważ nie ma pewności, czy udałoby się tam znaleźć dostatecznie płaską powierzchnię do lądowania, a następnie do startu. Rosjanie dokonali niedawno czegoś niezwykle trudnego. Miękkie lądowanie w miejscu, gdzie dokonała tego radziecka stacja automatyczna „Luna-20” jest ogromnym sukcesem technicznym. Wyobraźcie sobie, ile potrzeba wysiłku i precyzji, żeby wyposażony automatyczną stacją księżycową w niezbędnie pracujące mechanizmy i instrumenty.

Samobieżny rosyjski automat, przeniesiony na Księżyc przez stację „Luna-17” pracował i przekazywał przez około rok i przemierzył przez ten czas ponad 10 kilometrów powierzchni księżycowej. Praca „Lunochoda” daje pewne wyobra-

żenie, czego oczekują uczeni od kosmicznych automatów.

Wielu badaczy utrzymuje, że „roboty kosmiczne” nie są na razie zbyt „silne”. Automatyczna stacja „Luna-16” dostarczyła na Ziemię nieco ponad 100 gramów gruntu księżycowego. Obecnie podobną operację wykonała „Luna-20”. Jednakże uczeni oddaliby kilogramy próbek księżycowych, zebranych przez ekipy amerykańskich statków kosmicznych „Apollo”, za gramy próbek skalnych z gór księżycowych. Rzecz w tym, że tam właśnie materia Księżyca znajduje się niemal w pierwotnej postaci, charakterystycznej dla tak odległego czasu, kiedy to powierzchnia naszego satelity dopiero się formowała, a meteoryty i wulkany nie przekształciły do niepoznania ogromnych przestrzeni Księżyca.

Zewsząd o wszystkim

I rozpowszechniania jej w społeczeństwie realne warunki, bez których zostają zmarnowane wysiłki, umiejętności i zaangażowanie wielu z nas.

Sekcja architektury wewnątrz liczy w skali kraju blisko 1500 członków, grupując obok specjalistów również twórców uprawiających tkactwo i szkło artystyczne oraz ceramikę. Chcemy, aby twórczość nasza jak najlepiej służyła społeczeństwu, zaspokajając jego potrzeby zarówno w sferze użytkowej, jak i estetycznej. Dlatego pragniemy, aby zostały stworzone odpowiednie warunki pracy, aby nasza działalność nie była złem koniecznym, a wynikała z pełni uświadomionych potrzeb i aby była odpowiednio wynagradzana, co wiąże się z modyfikacją cennika autorskiego. Społeczność nasza ma takie same potrzeby i ambicje, jak każda inna grupa zawodowa w Polsce, i stąd konieczność uregulowania wszelkich spraw socjalno-bytowych.

Jako komisarz pierwszego Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej — Łódź 72, życzę mojemu miastu szerokiej reperkusji tej imprezy w kraju i za granicą. Wybrane przez jury tkaniny na ekspozycję potwierdziły opinię o wysokim poziomie naszego tkactwa artystycznego i tkaniny przemysłowej. Mamy twórców wybitnych i nowoczesnych, których dzieła powinny stać się własnością całego społeczeństwa. Przekształcenie Triennale w imprezę międzynarodową podniosłoby rangę naszego miasta nie tylko jako centrum przemysłu włókienniczego, ale również kulturalnego. Jako projektant wielu wystaw eksponujących wyroby przemysłu lekkiego, uważam za konieczne wybudowanie w Łodzi ośrodka wystawowego. Przemawiają za tym nie tylko względy ekonomiczne, ale i fakt, że eksponowanie wyrobów przemysłu łódzkiego poza Łodzią pomniejsza rangę miasta.

MICHAŁ GAŁKIEWICZ
— rzeźbiarz, skarbnik Zarządu Okręgu Łódzkiego ZPAP

Na Zjeździe mam zamiar włączyć się do dyskusji nad organizacją Związku i głosować za przyznaniem okręgom daleko idącej samodzielności włącznie z osobowością prawną. Obecna struktura Związku nie sprzyja rozwojowi wielu związkowych instytucji, nie rozwiązuje sprawy mecenatu, nie załatwia problemów bytowych, nie koordynuje problemów życia i kultury. Drugą sprawą, która będzie mnie osobiście interesowała, to zagadnienia rozwoju rzeźby w ścisłym powiązaniu z miastem. W sekcji rzeźby okręgu łódzkiego zrzeszonych jest dwudziestu członków, w tym rzeźbiarzy czynnych około dziesięciu. Jest to liczba znikoma w tak wielkim mieście, a absolutnym paradoksem jest fakt, że nawet ta mała liczba nie żyje ze swego zawodu. Miasto nie jest w stanie znaleźć dla nich pracy, ani miejsca dla ich dzieł. I nie oznacza to wcale, że wszelkie możliwości w tym względzie zostały wyczerpane. Po prostu nie podejmowano realnych prób, aby tę sytuację rozwiązać. Budownictwo i rzeźba żyją oddzielone od siebie murem nie do przebycia — każde sobie, z oczywistą szkodą dla siebie. W efekcie Łódź pozbawiona jest rzeźby — ma za ledwie kilka pomników-portretów, powiedzmy sobie nie najlepszych. Nowe osiedla toną w monotoni. Brak jest elementów rzeźbiarskich, urozmaicających i upiększających pejzaż miejski. A przecież istnieją realne możliwości aranżacji przestrzennej przez rzeźbiarzy pew-

nych wydzienionych enklaw miasta przy współpracy specjalistów z Wydziału Zieleni. Istniałyby również możliwości sprawdzenia prac łódzkich rzeźbiarzy, zrobionych na plenerach rzeźbiarskich i ustawienia ich w jakimś miejscu w mieście. To kwestia tylko transportu i dobrej woli. Być może z czasem w ten właśnie sposób powstałaby łódzka galeria rzeźby, tym bardziej, że prace pozostawione w miejscach, gdzie odbywają się plenery, są właściwie stracone dla szerokiego społeczeństwa i dla samych autorów, skoro ich nikt nie ogląda. Istotną sprawą dla rozwoju rzeźby jest ponadto reorganizacja cennika, stworzenie bazy materiałowej i powołanie jakiegoś przedsiębiorstwa realizującego projekty rzeźby usługowej. A najważniejszą sprawą jest stworzenie w mieście sprzyjającej atmosfery dla pracy rzeźbiarzy, wykorzystanie ludzkiej energii, ambicji i chęci twórczej. Zbudowanie płaszczyzny dla społecznego oddziaływania wytworów ich rąk i talentów.

TRUDNE SPRAWY PLASTYKI

wej i powołanie jakiegoś przedsiębiorstwa realizującego projekty rzeźby usługowej. A najważniejszą sprawą jest stworzenie w mieście sprzyjającej atmosfery dla pracy rzeźbiarzy, wykorzystanie ludzkiej energii, ambicji i chęci twórczej. Zbudowanie płaszczyzny dla społecznego oddziaływania wytworów ich rąk i talentów.

WIESŁAW GARBOLIŃSKI
— malarz, wiceprezes Zarządu Okręgu Łódzkiego ZPAP

Ważnymi momentami w obradach Zjazdu będą sprawy bytowe artystów, a więc renty, emerytury, pracownie, zaopatrzenie, reorganizacja cennika autorskiego... Wiele miejsca zajmie również dyskusja nad strukturą organizacyjną Związku. Klamrą łączącą wszelkie rozważania zjazdowe będzie dyskusja nad ideowo-artystyczną rolą Związku. Ja osobiście będę chciał zabrać głos właśnie o roli artysty w społeczeństwie, bo są to problemy, moim zdaniem, podstawowe i jeżeli uświadomimy je sobie wszyscy — twórcy i dyspozytorzy sztuki, to wszelkie inne sprawy nurtujące społeczność artystyczną zostaną siłą rzeczy załatwione. Istnieje paradoksalna sytuacja, bo z jednej strony mówi się nam, że jesteśmy potrzebni, i że spoczywają na nas odpowiedzialne i różnorodne obowiązki, a z drugiej strony jesteśmy pozostawieni sami sobie, niejednokrotnie zaledwie tolerowani. Trzeba wreszcie powiedzieć jasno, że kultura może i musi być współuczestnikiem w rozwoju gospodarczym kraju. Je pominięcie spraw kultury to nie tylko zubożenie duchowego kapitału narodu, to także osłabianie jego siły, w tym i siły produkcyjnej.

Warunki, w jakich znaleźli się plastycy sprawili, że malarz nie żyje z malarstwa, rzeźbiarz z rzeźby — nie żyją

oni ze swego zawodu. Zmuszeni są do podejmowania wszelkich możliwych prac z oczywistą szkodą dla właściwych działań artystycznych. Fundusz popierania plastyki w formie obecnej nie rozwiąże tych palących problemów. Bezrobocie w zawodzie plastyka jest faktem, zwłaszcza, gdy idzie o projektantów przemysłowych.

Jeżeli będziemy chcieli rzeczywiście rozwiązać te gordyjskie węzły, to musimy zastanowić się nad sprawą mecenatu, może wprowadzić zwyczaj odpłatności za uczestnictwo w ważniejszych wystawach, (literatom płaci się przecież za spotkania autorskie!), zobowiązać odpowiedzialne instytucje do sprawnego i szerokiego upowszechniania sztuki, przeanalizować programy uczelni artystycznych.

Jeżeli idzie o miasto, to powinno ono stworzyć atmosferę sprzyjającą pracy twórczej, wykorzystać w pełni potencjał kulturalny, kryjący się w prężnym mimo wszystko i licznym środowisku plastycznym. Powinna wreszcie stanąć w tym mieście galeria, bez której miasto odcięte jest od aktualnej twórczości artystycznej własnych i obcych artystów. Jest wiele jeszcze spraw innych — pracownie dla twórców, realny program upowszechnienia sztuki na terenie miasta i województwa, ale najistotniejszą jest stworzenie klimatu przydatności społecznej ludzi sztuki.

RYSZARD KUBA GRZYBOWSKI
— grafik, wiceprzewodniczący Sekcji Grafiki

W trakcie obrad Zjazdu winny być dyskutowane wnikliwie przede wszystkim sprawy związane z określeniem rangi związku twórczego w społeczeństwie oraz sprawy statutowe i bytowe. Jak wiadomo SARP wywalczył sobie status stowarzyszenia wyższej użyteczności publicznej i decyzja ta jest w pełni słuszna. Wiadomo również, że współczesna cywilizacja korzysta w coraz większym stopniu z usług artystów wszelkich specjalności, że plastyk współuczestniczy w kształtowaniu wizualnego oblicza tejże cywilizacji. Ale jest również faktem, iż w naszym społeczeństwie sytuacja moralna i materialna artystów jest co najmniej dwuznaczna. Ze nie wykorzystuje się w pełni ani ich umiejętności, ani ich energii i ambicji. Więcej, nieraz przez nieprzemyślane i nieskoordynowane działania degraduje się istotne dla gospodarki i społeczeństwa wartości ich pracy. Ze ciągle jeszcze przedmiotem zabiegów instytucji powołanych do upowszechniania kultury i przedsiębiorstw produkcyjnych jest ilość, a nie jakość. Ta sytuacja winna ulec zmianie dla dobra obu stron — twórcy i konsumenta.

Jeżeli idzie o samą strukturę organizacyjną Związku, uważam, że powinna być uznana większa autonomia dla poszczególnych okręgów, co może być dokonane w momencie właściwego rozwiązania spraw gospodarczo-bytowych przez odpowiedni mecenat pozazwiązkowy.

A co do Łodzi, to pragnąłbym, aby jej estetyka stała się nareszcie estetyką wielkiego miasta, estetyką nowoczesną. Wiąże się to z ustaleniem jakiegoś nadzoru artystycznego, koordynującego wszelkie plastyczne poczynania w obrębie miasta i z powołaniem fachowców przynajmniej w charakterze konsultantów artystycznych dla przedsiębiorstw i instytucji. Mam tu na myśli witraży sklepowe, grafikę i malarstwo reklamowe, małą architekturę i wszelkiego rodzaju pozycje wydawnicze. To, co dzieje się na łódzkich ulicach na wysokości wzroku przechodnia, jest w przeważającej części przykładem złego smaku, chaosu i zaniedbania.

Zyczyłbym sobie i innym grafikom w naszym mieście, aby zostały wreszcie rozwiązane należycie sprawy nadzoru artystycznego w drukarniach i instytucjach, mających uprawnienia wydawnicze i aby zakłady graficzne ZPAP-u otrzymały wreszcie odpowiednie do swych funkcji i potrzeb warunki, które umożliwiłyby wykonanie założonych programowo zadań artystyczno-poligraficznych.

Mam również nadzieję, że nowo powstały w Łodzi oddział WAG-u w dużym stopniu zaktywizuje środowisko i podniesie poziom wydawnictw artystyczno-graficznych w naszym mieście.

JERZY SCHOLZ
— projektant przemysłowy, kierownik pracowni plastycznej w Centralnym Laboratorium Przemysłu Tkanin Jedwabnych i Dekoracyjnych

Sprawami, które osobiście najbardziej leżą mi na sercu, są przede wszystkim skomplikowane problemy związane z zatrudnieniem artystów w przemyśle, niełatwe i obrosłe różnorakimi konfliktami. Plastycy pracujący etatowo w przemyśle, niejednokrotnie traktowani jest jak przysłowiowe piąte koło u wozu. Powszechnie, jak do tej pory, niezrozumienie jego funkcji i potrzeb wpływa ujemnie zarówno na efekty jego pracy, jak i w końcowej fazie produkcji — na estetyczną formę wytwarzanych produktów. Dotychczasowa struktura warunków pracy plastyka w przemyśle, a więc godziny pracy, niskie uposażenia, dowolna interpretacja przepisów odnośnie dni plenerowych, niepartycypowanie w premii eksportowej, złe warunki pracy, często w pomieszczeniach nie nadających się na pracownie, brak materiałów — wpływają odstraszaają na młodych, zniechęcają zatrudnionych, ograniczają inwencję twórczą, co odbija się na jakości projektów i realizacji. Zjawiskiem powszeźnym jest codzienna ignorancja kierownictwa poszczególnych zakładów przemysłowych w kwestiach estetycznych przy jednoczesnym uzurpowaniu sobie przez owe kierownictwa prawa ostatecznej decyzji. W efekcie przechodzi do produkcji wiele projektów o niskim poziomie artystycznym, ale za to zgodnych z upodobaniami ludzi, nie mających o tych sprawach pojęcia. Oczywiście zdarzają się wyjątki pozytywnej współpracy, ale mogą one służyć jedynie za przykład, nie przesadzając zaś wcale faktycznego stanu rzeczy. Inną, istotną dla artystów-projektantów kwestią jest brak prawnej ochrony projektantów oraz nagminne pomijanie projektantów przy wyjazdach zagranicznych, co uniemożliwia śledzenie aktualnych tendencji mody i zdobyczy technicznych. Z wyjazdów tych korzystają ludzie niekompetentni w zagadnieniach projektowania, co w efekcie prowadzi, na przykład w przemyśle włókienniczym, do ogromnego procentu rekonstrukcji wzorów z tkanin zagranicznych. A jest to przecież, delikatnie mówiąc, ściąganie z cudzych projektów. Sprawa, w stosunku do której Zjazd powinien zająć jakieś konkretne stanowisko, jest kwestia zatrudnienia młodych projektantów. Uczelnie wypuszczają coraz to nowe roczniki, a rynek pracy nie wchłania ich. Chwytają się oni różnych prac dorywczych, marnując swe prawdziwe umiejętności.

Co zyczyłbym miastu? Przede wszystkim stałej ekspozycji tkanin przemysłowych i wyrobów innych branż, ekspozycji, która kreśliłaby nie tylko aktualne osiągnięcia produkcji, ale wytyczała kierunki mody i estetyki.

Rozmawiał: **ANDRZEJ GRUN**

ŁÓDZKIE SZANSE

Dalszy ciąg ze str. 1

W przemyśle włókienniczym wdrażanie nowych technik przebiega o wiele sprawniej, niż na przykład w przemyśle elektromaszynowym, gdzie najaktualniejszą sprawą jest zmiana profilu produkcji. Łódzka Fabryka Zegarów, na przykład, produkuje do tej pory dość miernej jakości budziki zamiast nowoczesnych tablec rozdzielczych. Przed paroma laty kierownictwo tych zakładów występowało właśnie z propozycjami wprowadzenia zmiany profilu produkcyjnego. Obecnie, gdy nadarza się okazja, działa powolnie i niemrawo. Z kolei Łódzkie Zakłady Radiowe winny przyspieszyć starania o rozpoczęcie produkcji szybkościomierzy do samochodów.

Profesor Jerzy Werner z Politechniki Łódzkiej wystąpił niedawno z projektem uruchomienia w Łodzi produkcji autobusów, przeznaczonych dla komunikacji miejskiej. Propozycja ta nie pozbawiona jest pewnych racji i podstaw. Wiadomo, że fabryka tego typu musi w najbliższym czasie powstać w naszym kraju. Dlaczego nie miałyby ona być zlokalizowana właśnie w Łodzi? Przemawia za tym szczególnie fakt, że w naszym regionie przemysłowym wytwarza się wiele elementów do samochodów.

Jak wiadomo, w Łodzi produkuje się znakomite „Pol-silvery”. Żyłki te nie ustępują klasą produktom tego ty-

pu na Zachodzie, raczej je przewyższają. Łódź mogłaby je robić dla całej RWPG. Moglibyśmy również produkować nowocześniejsze maszyny włókiennicze, maszyny dla przemysłu dziewiarskiego, maszyny dla przemysłu chemicznego. Istnieje w tej dziedzinie duże zapotrzebowanie, istnieją w dodatku realne możliwości, brak jednak ze strony łódzkich inżynierów większej operatywności, inwencji, inicjatywy, rozmachu, aktywności, przedsiębiorczości i samodzielności.

Cóż, lata bezwładni i inercji zrobiły wiele złego, nauczyły niektórych ludzi łatwej rezygnacji z osiągnięcia ambitnych celów i trudno to dziś przezwyciężyć. Powstała sytuacja, w której sporo osób spogląda „na górę”, szukając wyłącznie tam natchnienia do swych czynów.

Program rozwoju Łodzi przewiduje likwidację co najmniej dziesięciu starych zakładów przemysłowych i oddzielenie ich w innym miejscu i w innej postaci. Łódzianie dobrze wiedzą, jak obskurne warunki pracy istnieją w wielu zakładach, nie przeznaczonych do dalszej produkcji. Cóż się okazuje? Gdy przychodzi do likwidacji, zaczynają działać wśród pracowników sentymenty i przywiązanie do starych miejsc pracy, ludzie oponują przeciwko likwidacji. Odlewnię „Strzelczyka”, która przeszkadza w przebiegu arterii komunikacyjnej (chodzi o przedłużenie al. Kościuszki) ostatnio nawet pomalowano, ażeby tylko wstrzymać jej wyburzenie. Resortowi to na rękę, gdyż z roku na rok odkłada budowę nowej odlewni w Kolutzkach. Zachodzi pytanie, jak w tej sytuacji usprawnić komunikację w Łodzi? Przeciwko miejscowym władzom występują w tym względzie zgodnie poszczególne ministerstwa i same załogi. Do tej pory udało się jedynie zlikwidować stare Zakłady im. Buczka. Operacja przebiegała z dużymi oporami.

Realizacja programu budowy nowej Łodzi nie jest więc dla władz miejskich rzeczą łatwą, często wylaniają się

przeszkody całkiem nieoczekiwane i nieprzewidziane. Nie da się przy tym uniknąć również i błędów. Na Polesiu postanowiono eksperymentalnie zmodernizować szereg budynków mieszkalnych. W trakcie prac wyszło na jaw, że koszt modernizacji równał się praktycznie kosztom budowy zupełnie nowych budynków.

Sprawa wodociągów. Ciągąc z Pilicy wodę do Łodzi należało przy sposobności załatwić jej dopływ także dla Piotrkowa, czy Pabianic. Rzecz przegapiono. Albo nowe osiedla bez garaży i odpowiednich miejsc na parkowanie samochodów. Przewidywano kiedyś 20 samochodów na 1.000 mieszkańców. Obecnie 200 samochodów na 1.000 mieszkańców może okazać się za kilka lat już za mało. Budując nowe osiedla, sprawy te należy mieć bardziej na uwadze.

Życie tak szybko wyprzedza wszelkie plany, iż trudno to objąć wyobraźnią. Pewni mędrcy twierdzili niedgdy, że w Łodzi nie ma zapotrzebowania na budownictwo jednorodzinne. A owe setki domków przy drodze do Pabianic i Zgierza — to sen, złuda? Dziś z dużym sceptycyzmem wiele osób odnosi się do budowy komunikacji podziemnej w Łodzi. Tymczasem za lat dwadzieścia w Łodzi musi być metro. I będzie. Na szczęście obecni gospodarze miasta, nasze władze partyjne i administracyjne, przewidziały tę ewentualność i umieszczono budowę metra w perspektywnych planach rozwoju. Wyznaczona została już orientacyjna trasa. Linia kolei podziemnej ma pójść ulicami: Aleksandrowską, Limanowskiego, do Bałuckiego Rynku, stamtąd do placu Niepodległości, z placu Niepodległości w kierunku Dąbrowy.

I na tym pozwolę sobie zakończyć te dywagacje. Na razie będziemy jeździć jeszcze zapewne dość długo tramwajami i autobusami, których many otrzymać do końca 1975 roku około 430 sztuk. Autobusów nie tramwajów.

KAROL BADZIAK

Minęło już nieco pierwsze oszomienie wielkim sukcesem Wojtka Fortuny w Sapporo, niemniej na rogatkach Zakopanego wiszą jeszcze transparenty, głoszące: „Zadnie Morki czy Kassaye — złoty medal Wojtek daje”. Podobnych napisów znajdowało się również sporo w pobliżu domu, gdzie mieszka nasz narodowy bohater ostatnich tygodni. A mieszka skromnie, z rodziną w małym służbowym mieszkaniu przy szpitalu, gdzie matka jest pielęgniarką.

Odwiedziłem Wojtka Fortunę w gwardyjskim klubie, w którym trenuje od dziewiątego roku życia. Zaczął od razu od skoków i konsekwentnie do tej pory nie innego nie robi. Właśnie wrócił z treningu, wesoły, uśmiechnięty, dziarski. W przejściu oczywiście musiał podpisać parę autografów. Pod budynkiem klubu codziennie oczekują go młodzi kibice. Chłopak jest drobny, zadziorny, sympatyczny, choć urodził się w Zakopanem, górale, nie jest. Rodzice pochodzą z Przemysła. Miał szczęście poznać smak popularności, a teraz poznaje gorzki smak ludzkiej zawiści.

Pokazuje mi „Perspektywy”, gdzie jakaś pani z Katowic w liście do redakcji, daje upust swemu niezadowoleniu, że oprócz zdobywcy złotego medalu, otrzymał także Złoty Krzyż Zasługi. No, cóż, różnie się można krajowi zasłużyć. Wojtek Fortuna zasłużył się dziesięcioletnim, wytrwałym treningiem i jedną chwilą brawury.

— Jak by mi się nie udało, przywieźli by mnie w worku — powiedział Wojtek. — Ponieważ się udało, przyniesiono mnie na rękach. O mało mnie zresztą nie rozszarpali przy tej okazji. Pod naporem tłumów powitalna trybuna w Zakopanem rozszarpała się w drzazgi. Nie muszę chyba dodawać, że to entuzjastyczne powitanie uradowało mnie, ale trochę też byłem przestraszony.

Tym, którzy Wojciechowi Fortunie mają za złe, mogą od siebie powiedzieć, że sukces to jeszcze nie kariera. Fortuna fortuny na tym skoku wcale nie zbil. Dostał jedynie mieszkanie w domu, który nie został jeszcze wybudowany. Zdobyl sławę, która jest nie tylko jego prywatną własnością, należy także do całego naszego sportu. Na drugi dzień po owym fenomenalnym skoku (111 metrów) cały świat dowiedział się o Polaku i Polsce. W kilka godzin po zwycięstwie w Sapporo, na murach wszystkich domów widniały wielkie podobizny Polaka. Od tej chwili zaczęła wokół Fortuny narastać legenda i plotka. Plotka, że otrzymał kilka samochodów i kilkadziesiąt propozycji matrymonialnych, w tym nawet od pewnej księżniczki japońskiej.

— Samochodem bym nie wzgardził — mówi Wojtek — może bym został automobilista, lecz na razie jedynym moim pojazdem są narty. Jeśli idzie o listy, to dostałem ich ze dwa tysiące i znajdują się wśród nich też pewne propozycje od panienek, ale chyba nie tyle małżeńskie, co narzeczeńskie. Najgłupiej to wypadło na lotnisku. Otóż, kiedy rodzice czekali na przyłot naszej ekipy, podeszła do nich jakaś dziewczyna i oświadczyła, że jest moją narzeczoną. Zaczęła dziennikarzem udzielać wywiadów o mnie, pozwała fotoreporterom, telewizja ją nawet kręciła. Jak wysiadłem z samochodu, rzuciła mi się na szyję. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co począć, gdyż po raz pierwszy ujrzałem ją i wcale mi się nie podobala.



„MAMO, JESTEM TU!” — rys. Andrzej Mianowany

STEFAN PRAŻMOWSKI

FORTUNA ŁUKIEM SIĘ TOCZY

bala. Zmarnowało się przez nią tylko trochę taśmy.

W ogólnonarodowej dyskusji, jaka rozgorzała wokół Wojciecha Fortuny, niektórzy twierdzą, że chłopiec zdobył laury przypadkiem i trochę przedwcześnie. Przypadam, że jest to dla mnie stanowisko dość dziwaczne. Miał więc czekać, aż się postarzej? Sport to nie dyplomacja, gdzie sukcesy odnosi się dopiero po pięćdziesiątce. Przypadek? Przecież aż dziesięć lat twarde i uparcie trenował, ma za sobą kilka tysięcy skoków i szczęśliwie bez żadnego wypadku. O co więc chodzi? Wcześniej zaczął, więc wcześniej odniósł również sukces.

— Wierzyłeś w swoją szczęśliwą gwiazdę?

— Wierzyłem. Ale inni też, na przykład redaktor Macenauer. Naprawdę to jednak wierzył we mnie tylko jeden człowiek, właściciel kiosku na przeciwko „Wierchów”, pan Konrad Szafranski. Zalażył się on z moim ojcem o 1500 złotych, że zdobędę złoty medal. Ojciec przegrał i musiał mu wypłacić, uczynił to bez przykrości. Muszę przyznać się szczerze, że panu Szafranskiemu wiele zawdzięczam. Ja tam, w Sapporo, o nim myślałem.

Zaprosił mnie Wojtek do siebie do domu. Przeglądaliśmy owe setki listów i telegramów z Polski i z całej Europy. Oglądałem również sportowe trofea, kryształ, wśród których znajduje się nawet wazon z klubu sportowego „Fortuna” w Wyrach. Klub ten mianował Wojtka swym honorowym członkiem.

Wśród pamiątek z Sapporo znalazł się także album ze zdjęciami.

Na ostatniej stronie tego albumu duże zdjęcie Kassayi z twarzą wykrzywioną w rozpacz. To zdjęcie Wojtek pokazuje z największą satysfakcją. Kassaya musiał go czymś urazić, może nawet nieświadomie zranił dumę ambitnego Polaka. Tu w grę wchodziło coś więcej niż zwycięstwo w ogóle. Największym zwycięstwem było dla Wojtka Fortuny właśnie pokonanie Kassayi. Istota męskiej walki nie polega przecież na tym, żeby jak najlepiej skoczyć, lecz żeby skoczyć lepiej niż przeciwnik. Dopiero z pokonaniem przeciwnika, czepnie się całą radość zwycięstwa. Urok walki polega na pokonaniu człowieka, a nie odległości. Pokonanie odległości jest tylko środkiem do pokonania przeciwnika.

Wojtek Fortuna zapewni, że nie zna uczucia lęku. Chciał zwyciężyć, marzył o tym od dziecka. I stało się. Tym samym wszedł do tej nielicznej grupy ludzi, którym udało się zrealizować swoje marzenia.

Jeden z działaczy sportowych, gratulując mu olimpijskich laurów, upomniał go równocześnie, żeby nadal pozostał chłopcem skromnym i pracowitym.

— Dziękuję, nawzajem — odpowiedział Wojtek.

★ ★ ★

DROGI PANIE WOJTKU!

Bardzo się cieszę, że Pan zdobył pierwsze miejsce w skokach narciarskich. Nazywam się Kaszak Leszek. Ja jestem uczniem klasy VII w Inowrocławiu, chodzi do szkoły podstawowej nr 6. Chciałbym bardzo być narciarzem. Myślę, że nim będę. Jedźcie bardzo dobrze na tyżwach. Zbieram różne zdjęcia, m. in. aktorów (ek), piosen-

karzy (rek), sportowców. Bardzo chciałbym, aby Pan przysłał mi swoje zdjęcie. Ja Panu przysłałam moje. Myślałem, że Polska nie zdobędzie ani jednego medalu, a tu nagle, jak się dowiedziałem, że Pan zdobył „Złoty medal” o mało nie oszalałem z radości. Ten skok był bardzo a bardzo przepiękny. Najpierw wybił się Pan w górę, a potem na dół i znowu jakby jeszcze się Pan wybił.

Wszyscy z mojej klasy, a nawet szkoły, mają zamiar do Pana napisać list. Gdybym dostał Pana zdjęcie, natychmiast dałbym obramować je i oszklili. Powiesilibym je nad moim biurkiem. Pozdrawiam i życzę, aby Pan skakał tak dalej jak teraz i zdobywał złote medale.

KASZAK LESZEK

DROGI ZŁOTY MEDALISTO Z SAPPORO — PANIE WOJTKU!

Sądze, że nie zdziwił Pana mój list, mianowicie, piszę, aby również w moim imieniu złoty Panu serdeczne gratulacje za zwycięstwo w Sapporo i w dwóch skokach na Dużej Krokwi w Zakopanem. Naprawdę pięknie Pan skakał, choć nie było to na pewno łatwe.

W moim imieniu i imieniu moich koleżanek — gdyż ja jestem dziewczyna, mam 17 lat — bardzo serdecznie gratulujemy Panu jak również Pana Trenerowi i Rodzicom za tak piękny i zasłużony Złoty Medal, zdobyty dla Polski.

Bardzo proszę, o ile byłoby to możliwe, o udzielenie mi wrażeń z Sapporo, lub z przyjęcia, lub z samej Dużej Krokwi w Zakopanem.

URSZULA T.

Zegartowice

P. S. Czekam na odpis.

CZEŚĆ WOJTKU!

W pierwszych słowach mego listu bardzo Cię pozdrawiam i życzę Tobie dużo sukcesów w sporcie, który uprawiasz. Nie gniewaj się, że ośmieliłem się napisać do Ciebie, znając Ciebie tylko ze szklanego ekranu oraz ze zdjęć, które starannie zbieram, wkle-

jając je do mojego pamiętnika. Mieszkałam w Poznaniu, uczęszczałam do szkoły handlowej, obecnie mam 16 lat. Od roku należę do klubu wioślarskiego, który znajduje się nad rzeką Wartą. Wszystkie imprezy z Sapporo, w których brałeś udział, pilnie oglądałam. Wiadomość o zdobyciu przez Ciebie medalu usłyszałam rano o godzinie 7, słuchając korespondencji przeprowadzonej z Sapporo. Tak się cieszyłam, jak bym znała Ciebie bliżej. Po południu oglądałam skoki na Dużej Skoczni i cieszyłam się razem z Tobą, a kiedy zagrali Mazurka Dąbrowskiego i zobaczyłam Twoją radosną twarz oraz złoty medal błyszczący na Twojej pierś, zapłakałam z radości i ze szczęścia, które Ty przeżyłeś. Proszę Cię, Wojtku, napisz chociaż kilka słów, ponieważ bardzo interesuję się sportem. W dzienniku telewizyjnym dnia 16. II, kiedy udzieliłeś wywiadu, byłam wzruszona, ale byłam zła, kiedy usłyszałam, że dziesięć dni później do Ciebie w celu matrymonialnym. Ale ja w tym celu nie piszę i to na pewno. Koleżanki śmieją się ze mnie, że i tak mi nie odpiszesz, lecz ja sądzę, że nie zrobisz mi zawodu i na pewno wolna chwila się znajdzie, aby skreślić kilka słów w stronę Poznania. Na tym kończę i jeszcze raz życzę sukcesów, serdecznie pozdrawiam.. LIDIA

CZOŁEM WOJTEK!

Przepraszam, że zwracam się do Ciebie tak bezpośrednio, ale jesteś mi prawie rówieśnikiem. W dniu Twojego zwycięstwa napisałam na Twoją cześć okolicznościowy wierszyk.

Sława Wojtka niechaj wleci. Niech go znają wszystkie dzieci. Niech go młodzież naśladuje. I w sportowych klubach trenuje. Lekkoatletyce, narciarstwu, skoki. Lecz niech nie trenuje gdzieś na boku.

Proszę Cię, pozdrów kolegów z ekipy olimpijskiej. Czolem!

Krzysiek
Kobylnica k/Ślupska

DROGI PANIE WOJTKU!

Dołączam swój skromny wiersz napisany dla Pana:

Polska cała się raduje. Na cześć Wojtka wiwatuje. Wojtek skromny i nieduży. Mimo wszystko skok wydużył. I zapisał się w pamięci. Naszej — i widzów tysięcy.

JACEK Z WAPIENICY

KOCHANY ZDOBYWCÓ!

Przysyłamy Panu serdeczne gratulacje z okazji zdobycia jednego złotego medalu dla Polski w Sapporo. Jeżeli będzie Pan przejeżdżał koło Cieplic, bardzo prosimy, aby odwiedził Pan naszą klasę. Moc szczerych pozdrowień od klasy IVa.



Listy do Redakcji

REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „ODGŁOSY”

Nawiązując do artykułu „O tym jak pewien detektyw — a mator chciał wykryć aferę w Spółdzielni Inwalidów „Tęcza” („Odgłosy”, nr 8 z 20.2.1972 r.) Delegatura Najwyższej Izby Kontroli w Łodzi informuje uprzejmie, że zamieszczone w nim wzmianki o złomowaniu środków trwałych i wypłatach premii oraz pożyczek nie zostały oparte o materiały pokontrolne, jak podano. NIK. Dotyczy to także uwag o pogładach inspektora.

Powyższe fragmenty działałności Spółdzielni Inwalidów „Tęcza” w Łęczycy były przedmiotem lustracji przeprowadzonej przez Wydział Rewizji Okręgowego Związku Spółdzielni Inwalidów w Łodzi (8.7.—13.10.1970).

Przewodniczący Delegatury Najwyższej Izby Kontroli (—) z up. Jerzy Kobacki Zastępca Przewodniczącego

★ ★ ★

REDAKCJA TYGODNIKA „ODGŁOSY”

W związku z listem ob. M. Pirka, zamieszczonym w nr 9 „Odgłosów” z dnia 27 lutego 1972 r., Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego w Łodzi uprzejmie wyjaśnia, iż sprawa poruszona w wyżej wymienionym liście była rozpatrywana przez Prokuraturę Powiatową i z braku dowodów winy została amorzona.

Prowadzone przez Okręgową Komisję Dyscyplinarną dla Nauczycieli przy Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego w Łodzi postępowanie przeciwko nauczycielce zostało zakończone w dniu 27 kwietnia 1971 roku.

Na skutek odwołania się stron od orzeczenia Okręgowej Komisji Dyscyplinarnej sprawa rozpatrywana jest przez Odwoławczą Komisję Dyscyplinarną dla Nauczycieli przy Ministrze Oświaty i Szkolnictwa Wyższego.

Przedłużanie się zakończenia postępowania dyscyplinarnego w drugiej instancji spowodowane jest przebywaniem nauczycielki na urlopie dla poratowania zdrowia od dnia 1 września 1971 roku do dnia 31 sierpnia 1972 roku.

Podaje się, że ob. M. Pirek o trybie postępowania został poinformowany pismem tut. Kuratorium z dnia 20 kwietnia 1970 roku nr II-84(4)70.

Kurator Okręgu Szkolnego (—) mgr Jerzy Wachnik

W związku z moim poprzednim reportażem o poszukiwaniu hrabiego zgłosiło się do mnie dużo ludzi, którzy znali kiedyś tę świetlaną, niesłychanie popularną postać. Dowiedziałem się dzięki temu, że za swoich dobrych czasów hrabia palił hawańskie cygara, spacerując po ulicach w nieskazitelnie białej koszuli, a jeśli chodzi o wykształcenie, to był inżynierem i miał sklep elektrotechniczny w śródmieściu. Trudno powiedzieć, czy naprawdę był arystokratą, ale fakt, że bardzo brzydki się robotą i żył wedle dewizy: jak to dobrze cały dzień nie robić, a wieczorem trochę sobie odpocząć.

Sklepieniem zarządzała wyłącznie jego żona, więc kiedy tej kobiety zabrakło wśród żywych, interes zaczął gwałtownie podupadać, podobnie zresztą jak i sam hrabia, którego białe koszule zmieniły z wolna kolor, i nie palił już cygar hawańskich, tylko polskie „rekordy”.

To prawda, że od dłuższego czasu nikt go nie widział. Trochę to nawet ludzi niepokoi. Może wyprowadził się z Łodzi? Może wypoczywa w Domu Starców? Tak czy owak, robię kolosalny błąd, szukając go tylko w kawiarniach. Przecież hrabia nade wszystko upodobał sobie knajpy. Najpierw odwiedzał te najlepsze, jak „Tivoli”, „Savoy”, później zjechał do poziomu „Słonia”, a teraz, skoro go nigdzie nie widać, urzęduje, być może, w jakichś ustronnych spelunach, w takiej na przykład „Kolejowej”, „Przekąsce” lub „Zgodzie”.

Trop wydał mi się prawdziwy i ruszyłem na szlak, systematycznie odwiedzając lokale kategorii trzeciej. Robiłem to zazwyczaj o zmierzchu, w porze wieczornych udojów i pijanych pocałunków. Z początku próbowałem zapisywać ukradkiem to i owo w notesie, ale szybko zrozumiałem, że jest to trud bezcelowy i bezna dziejny, gdyż żadna z tych knajp nie ma swojego wyróżnika, wprost przeciwnie — są do siebie bliźniaczo, jedna do drugiej, podobne: te same zapachy z kuchni, te same zapażkane szyby, wybebeszone krzesła, mokre i brudne obrusy, mroczne toalety o pornograficznie wygrawerowanych ścianach, na których nie brakuje także dowcipnych wierszyków i delikatnie wyrażonych propozycji miłosnych; a dalej — ci sami kelnerzy w niebezpiecznie utylanych kitlach, pijący ostro w czasie pracy, tak, że nieraz aż strach przywołać takiego do stolika, te same królujące za ladą barmanki o czujnych oczach i wprawnych rękach, rozlewające alkohol do kieliszków zawsze poniżej kreszczki, a nie zawsze z „gastronomicznej” butelki.

— To takie łatwe, proszę pana — pouczał mnie jeden z wtajemniczonych klientów pani Ziuty, która ma duże szanse dostać nagrodę komitetu antyalkoholowego za skuteczną walkę z plagą pijaństwa. — Ona wchodzi do monopolu i codziennie kupuje parę butelek, które przynosi do lokalu, o, widzisz pan, w tej parciej torbie, no i zaczyna robotę od przeliewania wódki do szkła legalnego z nadrukiem „gastronomia”. Jeśli w tej pierwszej fазie nikt jej nie chwyci za rękę, to w drugiej pracuje już bez nerwów, w poczuciu całkowitej praworządności, wiedząc, że żaden gość z tak zwaną kontrolą nie potrafi udowodnić jej przestępstwa. Później, skoro już sprzeda co swoje, przelastca się we wzór ucziwo-

ci: nie podaje wódki młodzieży do lat osiemnastu, wrzeszczy na pijaków, żeby do każdej sety brali zagrychę, a jak który za bardzo podcięty, to przegania go z baru za pomocą zblatowanego kelnera. Nigdy też — co robi się przecież we wszystkich innych knajpach — nie daje cichaczem, za odpowiednią opłatą, gorzalki na wynos, nigdy nie dolewa do niej wody, nie zaniża poziomu w kieliszkach, co najwyżej — jak się trafi jakiś porządny gość — podsunie mu zamiast radzieckiego lufkę polskiego winiaku, robiąc przy tym minę tak słodką, że gościowi wszystko jedno.

Mogło by się zdawać, że bar pani Ziuty jest przybytkiem wzorowym, a przecież o dziewiętej wieczorem co drugi wychodzący stamtąd człowiek ma pianę w ustach, obłąd w oczach i całkowitą pustkę w kieszeni.

2

Są ludzie, którzy twierdzą, że widzieli nie tak dawno hrabiego w „Przemysłowej” przy ul. Zachodniej 59 oraz w „Karusiu” za placem Wolności. Obie te czcigodne restauracje wymieniają się bez przerwy klientami, którzy z reguły nie posiadają środków płatniczych i cały ich dzień polega na przemysłym polowaniu. W roli etatowych jeleni występują tam najczęściej obywatele przyjeżdżający tramwajami ze Zgierza, Ozorkowa, Aleksandrowa i innych podlódzkich miasteczek. Latwo ich, bez obrazy, rozpoznać po przasnanych, naiwnych, uczciwych twarzach, nieco skrzepowanych rękach i ubiorze... toteż z chwilą, kiedy przekraczają prógi knajp, stają się przedmiotem żywego zainteresowania miejscowej dintojry oraz wszelkich innych walców, uprawiających nędzny hazard (domino, warcaby, oko, chlust) w pobliskim parku „śledzia”. Atakuje się ich na sto różnych sposobów. Często jest to groźba i ordynarne wymuszenie, ale nie brak także bardziej subtelnych, koronkowych sposobów, zaprawionych silnie sentymentalizmem i gorącym umiłowaniem ojczyzny.

— Skądże pan, przepraszam najuprzejmiej, przyjechał? — rozpoczyna podchody mrużący przy milnie oczy facet, którego twarz zionie zbrodnią.

— Eee, z Lutomiarska... — odpowiada człowiek w nowej, pachnącej naftaliną jesione.

— Znam Lutomiarsk — mówi ten pierwszy, ale za jego plecami pojawia się z miejsca drugi, również życzliwie mrużący oczy, ale jeszcze bardziej czuły: łapie tego z Lutomiarska w ramiona i zaczyna pokrywać mu twarz mokrymi pocałunkami, sepleniąc w przerwach: — Też znam Lutomiarsk, żem tam walczył w partyzantce, o przywóz pan — podciąga w tym momencie obrzępioną nogawkę — to jest dziura od kuli dum-dum — powiada, głaszcząc się pieszczotliwie po tydce, na której, owšem, widać bliznę, ale od noża.

Ten z Lutomiarska ma w oczach błysk zrozumienia, lecz nie zdradza swoich wątpliwości. Zresztą jest mu dobrze, swojsko, odpręża się z minuty na minutę i kiedy tych dwóch popycha go delikatnie w stronę bufetu, nie stawia im większego oporu.

3

— „Karaś”, czyli obecnie „Ogrodowa”, był ostatnimi czasy ulubionym barem hrabiego — pouczał mnie człowiek w kolejar-skim uniformie. — Ale ostatnim

razem widziałem hrabiego w „Zgodzie”, wie pan, niedaleko cmentarza...

Poszedłem do „Zgody”. Jest to zaświntuszona, mała salka. Specjalność: zupa jabłkowa z uszkami oraz tak zwane file z dorsza. Czasami bywa tu również bigos myśliwski, czyli kapusta na talerzu, a mięso w lesie... Nieraz odbywają się w „Zgodzie” błyskawiczne, tego zakrapiane stypy, a przy stolikach siedzą najczęściej kamieniarze, grabarze oraz inny personel cmentarzy, poszukujący odprężenia po swojej niewesołej pracy. Spotkać tu można również zaśluzonych w boju młodzieźców, którzy robią, co mogą, żeby zdewastować do reszty kompleks cmentarzy przy ulicy Ogrodowej i wszystko wskazuje na to, że ich przedsięwzięcie zakończy się wreszcie pełnym powodzeniem.

czasu w nasroje samobójcze. Szkoda, że nikt dotychczas nie zrozumiał, czym przede wszystkim powinny być knajpy. O ile kawiarnie zaliczam do grona instytucji rozrywkowych, o tyle restauracje — te tanie, niższych kategorii — są przystaniami pierwszej potrzeby. Właśnie one mają za zadanie latać dziury w ubogiej sieci przyzakładowych stolówek, w nich należało by stworzyć klimat dla sezonowych robotników, wdowców, ludzi z delegacjami w kieszeni, których nie stać przecież na „Malinową” i „Halke” oraz dla wszystkich innych, wyrzuconych za burtę przegranców, a jest ich z pewnością w tym mieście kilkadziesiąt tysięcy. Jeśli kogoś ten wywód nie przekonuje, niech wejdzie do Zakładów „Marchlewskiego” i zapyta w dyrekcji, ilu ro-

wać, a przy okazji zmieni się również oblicze miasta. Więc i w tym wypadku pozorna strata przyniesie społeczeństwu realną korzyść.

Kropka. Koniec z tą dętą, moralizatorską publicystyką. Przecież ja miałem szukać hrabiego, który bez przerwy gdzieś mi ucieka, klucząc tylko sobie znanymi drogami.

4.

Jakkolwiek człowiek ten był inżynierem, miał duszę Cygana i często zaglądał do restauracji „Artystyczna”, która obecnie egzystuje pod szyldem „Ludowa”. Pałęta się tam po nim do dzisiaj wesela anegdotka. Otóż w pewnym okresie życia hrabia zamierzał podobno odzwyczczać się od alkoholu. Było to postanowie-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY POCAŁUNKÓW



Przeglądając menu i śledząc gabloty barowe w restauracjach trzeciej kategorii, doszedłem do absolutnej pewności, że człowiek o normalnym żołądku i średnio wrażliwym podniebieniu nie ma prawa zjeść tu cokolwiek bezkarnie, bez ryzyka zatrucia. Na mokrych i przykurzonych talerzach spoczywają kanapki, co to już od tygodnia nikt na nie nie narzekał. Wędlina o wszelkich kolorach tęczy, brunatne tatar, poczeriałe jajka, ryby, których zapach wydaje się przedzierać nawet przez szkło, plastry wyszłego sera na równie wyschniętym chlebie, a w oknach bezcelne reklamy: „Zapraszamy na smaczne obiady i kolacje”.

W tej sytuacji słuszne z pozoru zarządzenie, aby do każdej wódki brać zakąskę, wydaje mi się aktem gwałtu.

— Nie ma pan racji — odpowiedział mi na to stary bywalec łódzkiej knajpy.

— Dlaczego?

— Bo sprawę można odwrócić. Do każdej zakąski należy brać musowo wódkę. Kto tak robi, nigdy się nie zatrjuje. Spirytus działa przecież dezynfekująco, przyspiesza trawienie, zapobiega przeziębieniu, no i rozszerza naczynia krwionośne.

Nie mam wątpliwości, że poglądy ten podziela w pełni kierownicy naszej gastronomii. Ale wniosek stąd prosty, że w naszym, milionowym bez mała mieście — sytuacja człowieka samotnego, zdanego z konieczności na permanentny kontakt z restauracjami, jest tragiczna. Jedyna alternatywa: jeść lub nie jeść, a więc: umrzeć w wyniku schorzeń przewodu pokarmowego lub uschnąć z głodu — wpędza człowieka z biegiem

botników korzysta ze stolówki, a ilu musi szukać pożywienia na mieście, a później niech się jeszcze zapyta tych ostatnich, jakiego doznają wrażenia, kiedy przekraczają prógi okolicznych restauracji, wtapiając się w pijany hulaśliwy tłum.

Rozmawiając z „działaczami” łódzkiej gastronomii, wciąż spotykam się z narzekaniem, że niebawale drogie jest każde miejsce konsumpcyjne, że masę pieniędzy pochłaniają nieustanne renowacje i remonty, że w gruncie rzeczy instytucja ta z trudem wiąże koniec z końcem, i gdyby nie wyszynk alkoholu, deficyt przybrałby rozmiary głęsi totalnej. Ale mnie te argumenty nie przekonują. Wiem przecież, że w socjalistycznej strukturze społecznej, centralnie planowanej, jest wiele programowo deficytowych gałęzi, że ten deficyt jest tylko pozorny, będący w rzeczywistości wynikiem starannie przemysłanych i z góry przewidzianych ulg pod adresem ludności. Szkoły są bezpłatne i nie przynoszą krajowi zysków pieniężnych. Ale czy można mówić o deficycie w szkołach, skoro wychodzą z nich ludzie, kierujący później efektywnie gospodarką narodową. Tanie są w Polsce lekarstwa. Ale czy wobec tego można mówić o deficycie w aptekach, dzięki którym zapobiega się tak zwanej absencji chorobowej w największych zakładach pracy? Powiedzmy że z chwilą, kiedy w restauracjach przestanie się kłaść nacisk na sprzedaż alkoholu, powiększy się deficyt w gastronomii. Lecz jednocześnie ulegnie poprawie zdrowie i samopoczucie niektórych obywateli. Zaczyna oni w związku z tym lepiej pracować,

nie niezłomne, toteż z chwilą, kiedy przechodzi obok ukochaną restaurację, wystawiając się niejako na próbę — złożył sobie przyrzeczenie, że ani spojry na prowadzące do piekieł wrota. I dotrzymał słowa.

Przeszedł tak około trzydziestu metrów, ślepiąc na drugą stronę ulicy. Wreszcie zatrzymał się, uśmiechnął i powiedział do siebie:

— Zuch! Należy ci się kielich! I wrócił do knajpy.

Zdarzenie to, czy też plotka, zdaje się potwierdzać teorię, że kto pił, ten będzie pił i nigdy już nie zboczy ze szlaku.

— Ale ja w tę teorię nie wierzę. Ludzi można wszystkiego nauczyć i wszystkiego oduczyć. Pod warunkiem jednak, że się tego naprawdę chce, i że stworzy się po temu odpowiedni klimat.

A tu co?...

Podслуchałem:

— U nas pijak, to jest, proszę pana, święta krowa.

— Jak się, proszę pana, spóźni do pracy z powodu tramwaju, to szef jest na mnie zły, jak cholera, ale jeśli ja do niego przyjdę jak do ojca i powiem: wie pan, panie szefie, żem wczoraj trochę zabańkował... to on się uśmiechnie i klepie mnie w plecy.

— Człowiek trunkowy, proszę pana, zawsze się z człowiekiem trunkowym porozumie...

To prawda.

Pora nagłych przyjaźni i pijanych pocałunków. Ścisną ją ślimaczę się we wszystkich bramach przelamane cienie. Serce brodaków za-lewa ciepła falą miłości.

A hrabiego jak nie było, tak nie ma.

PÓLKA

Z KSIĄŻKAMI

NOWY SŁOWNIK

Wydawnictwo „Wiedza Powszechna” od dawna już realizuje bardzo cenny i pożyteczny cykl wydawniczy. Mam na myśli serię słowników literackich z różnych kręgów języków, a także jednotonowych leksykonów, poświęconych kulturom poszczególnych krajów czy epok. Obecnie przybyła nam nowa pozycja z tego cyklu. Jest nią „Mały słownik kultury świata arabskiego”. Słownik zawiera około 1000 haseł, ujętych

alfabetycznie i dotyczących zarówno historii jak i teraźniejszości świata arabskiego. W części drugiej Słownika czytelnik znajdzie szereg artykułów, omawiających kolejno historię, język, literaturę, naukę, filozofię i sztukę arabską. Otrzymaliśmy dobrze opracowany podręcznik o historii i kulturze narodów Bliskiego Wschodu. Książka ozdobiona jest więcej niż setką zdjęć, które wzbogacają znakomicie przejrzystą i dobrze ułożoną całość. Czekamy na dalsze pozycje z tej serii.

Jk.

Mały Słownik Kultury Świata Arabskiego, Wiedza Powszechna, Warszawa 1971, str. 596, cena: zł 75.—

VIII Konkurs Literacki o „Rubinową Hortensję“ został rozstrzygnięty przez jury w składzie: Wiesław Jażdżyński (przewodniczący), Zbigniew Bryński, Teresa Garlińska, Jerzy Kisson-Jaszczyski, Roman Loboda, Jadwiga Pilichowska. Jury przyznało następujące wyróżnienia:

w dziedzinie prozy:

- I nagroda — Marek Lubaś Harny (Tarnobrzeg),
- II nagroda — Marek Nejmian (Łódź)
- III nagroda — nie przyznano;
- wyróżnienie za debiut — Wojciech Jaworski (Łódź),
- wyróżnienie specjalne, ufundowane przez Tow. Przyjaciół Piotrkowa — Stanisław Ostrowski (Łódź),
- wyróżnienie specjalne, ufundowane przez WKZZ — Tadeusz Koziura (Bytom).

w dziedzinie poezji:

- I nagroda — nie przyznano,
- II nagroda — Roman Gorzelski (Łódź),
- III nagroda — Stanisław Filipowicz (Gdańsk-Oliwa)
- wyróżnienia za debiut: Teresa Lechowska (Piotrków Tryb.) i Zbigniew Ruszel (Opole).

Dwa z wyróżnionych utworów prezentujemy.

— Te trzy palce cco ich nie mam u prawej ręki, to też tam straciłem we fabryce. Pracowałem wtedy na gilotynie, to takie nożyce do cięcia blachy. Nogą się pedał przyciska, a z góry nóż się opuszcza i tnę blachę na kawałki. W warsztacie były takie nożyce. Nno nie tkanie do blachy jak papierek, tylko do prawdziwej blachy grubej na palec. A ja tylko tam tą blachę podsuwałem. Ccały dzień się siedzi, blachę podsuwa, nogą kiwa, a maszyna sama cicha raz za razem. Z boku mój pomocnik nowe arkusze podwozi i rrobotą leci. Ccoraz to na wózku zabierali, to co my nacięli. Ddlugo tam pracowałem, młody jeszcze byłem, tto robota leciała i zarabiałem nieźle.

Aż raz za późno rękę cofnąłem i po palcach. Ddużo było wtedy hałasu i zabrali mnie na inną robotę.

— Ppani słucha? Lepiej żeby ppani słuchała.

— Słucham.

— To dobrze. Spać, widzi pani, nie mogę, stary jestem, to swoje już w wypałem. Bez roboty mi tęskno, to i spać się nie chce.

He, he śmiesznie tak mówię, nie? Tu ziąb od bbetonu ciągnie, tam strażnik bbuciorami skrzypli, jutro niewiadomo co z nami zrobia, ale ppewnie tylko do roboty nas pogonią. Ale niech ppani słucha. Słucha ppani?

— Słucham.

— Potem dduży czas pracowałem w narzędziowni. Narzędzia wydawałem dla robotników. Też niezła rrobotota. Przychodzą, oddają takie blaszki mosiężne, każda z numerem robotnika, a ja za tę blaszkę wydaję narzędzia, a tam gdzie było narzędzie wieszam blaszkę. Zeby było wiadomo kto wziął. Parę lat tam pracowałem. Znałem wszystko na pamięć. Widok był na całą halę, w której były te warsztaty. Tu ppilują, tam się kreci tokarka, ruch i hałas. Lubilem ten hałas. Jjak ludźle pracują przy metalu, to zawsze jest hałas. Żelazo się nie poddaje, ho, ho. Ddobrze się trze-

ba nameczyć nim z niego coś wyjdzie. Kantować też mnie próbował, ppodrabiali znaczki, ale przeważnie zżawsze się spostrzegłem. Inaczej tto ja bym musiał płacić.

Najlepsze, o przerwa na śniadanie. Wwtedy jak na komendę dzwonek ddużwoni, wszystkie maszyny stają, kkażdy się bierze za

STANISŁAW OSTROWSKI

ŁÓDŹ

Debiut

NOC

Wyróżnienie specjalne Towarzystwa Przyjaciół Piotrkowa

jedzenie i cisza się naraz taka robi, że sstychać jak ppociągi chodzą gdzieś tam po torach, a to mmówię pani daleko. Zona wtedy jeszcze żyła.

Wyciągam i ja swoje śniadanie, kkwawę co przyniosłem zze sobą w butelce popijam i jem. Żżona mi zżawsze dawała do jedzenia coś w stoliczku, a to gulasz, bigos albo coś takiego. Śmiały się zze mnie, ale co tam, grunt że dobre było. Inżynier tto zżawsze lubił przyjąć na halę w śniadanie. Zzachodził też często do mnie. „Nno i co ppanie Andrzeju?” — tak zżawsze do mnie mówił — „Leci jakoś robota? Smacznego!”

Zżawsze mówił smacznego. Wwogóle to odzywał się do mnie mało, ale to nie znaczy żebyśmy się nie znali, nnawet dobrze.

W czczasie strajku na hucie cco zrobili robotnicy, bbo to było przed wojną, przyniósł mi cały plik ulotek i ppowiedział: „niech pan to jakoś rozrzuci a zaufanym rozda”.

Ttrochę rozrzuciłem, trochę rozdałem. Chciał tylko żeby o nim nic nie mówił. Nnie mówi-

łem, bo i po co. Jakoś nam za te ulotki nic nie było. Pprzynosił mi potem cichaczem różne broszurki, a to książki, żebym przeczytał i dał drugim. Ssam czytałem, drugim dawałem. Rraz nawet pojechałem rowerem na wieś z tymi ulotkami. Obblawa jak raz była, policji pełno. Zddążyłem paczkę wrzucić ddo jakiegoś ogrodu. Nie złapali mnie z nimi. Wwieczorem przyszedłem, paczkę zabrałem i zaniósłem chłopom. Rrano inżynier do mnie mruga, a ja się śmieję. Zznaczy wszystko w porządku.

Pprzyzwyczaiłem się do tej fabryki, lepiej się tam czasem czułem jak w domu. Chchwalili mnie. Bo ja robiłem więcej jak osiem godzin. Czczasem to nie chciało mi się wyjść. Ludzi dużo się kreciło. Zz miasta przychodzili z drugich fabryk popilnować roboty co bbyła dla ich maszyn, ślusarze ppracują, żżart jaki jeden drugiemu robi. Czczłowiek swoje odrobił, to i gazetę może spokojnie pprzeczytać i nikt mu słowa nie powie, bo przecież ja już ppo godzinach. Nie powiem, żebym tak zżawsze, ale od czczasu do czasu lubilem posiedzieć godzinę albo i dłużej. Ccoś jeszcze w spokoju zrobiłem i szło się do domu.

Ale ppanią ppewnie nudzi jak ja tak gadam, ale mnie nudno

ffryzjerem został. Ddo Niemiec ggo zabrali, nniiby na roboty i nie wrócił ddo tych pór i nnie ppiśze wcale, mmoże już nie żyje?

— A żżona?

— Żżona umarła na samym początku wojny, zżabili ją Niemcy, bbo ppodejrzewali, że z tego domu ktoś strzelał do nich jak wchodzili i wwszystkich zżastrzelili, wiilec i ją też. Ja wtedy byłem we fabryce, bo ppałi się magazyn i chciałem pomóc ggasić, ale niewielu nnas takich bbyło. Tto od bomby tten magazyn.

Nna początku wojny też zacząłem robić w tej fabryce. Nnawet w tej ssamej narzędziowni. Niemcy to lubią porządek, żeby wszystko było poukładane pod sznurczek i żeby było czysciuchno. U mnie zżawsze było porządkie. Na ppozaczku nie miałem z nimi kłopotu. Żyć tylko było smutno, bo sam zostałem. Rrodziny żadnej bliskiej nie mam. Mysłę, psa sobie kupię, zżawsze we dwóch będzie raźniej. Kkupilem sobie. Dobry był piesek, bburry, wielki taki wyrósł. Pprzywiązaliśmy się do siebie. Mmleko mu kupowałem i jakoś sobie żyliśmy. Z ppozaczku to mi dokuczali, że poszedłem do Niemców pracować, bbo niedużo z początku poszło, ale później przestali, bo do roboty musieli iść wszyscy. Nie mieli chleba, to przychodzili. Ja bez fabryki nie mogę żyć, więc poszedłem pprędko, ale nie żeby od razu, kiedy jeszcze Warszawa walczyła, ddpotro jako upadła.

A piesek czekał na mnie zżawsze i wwszędzie razem chodziliśmy, bbarżośmy się lubili.

Ood śmierci żżony bbarżo się zestarzałem. Jja prawdę mówiąc, to nigdy nie byłem młody. Ttak, są tacy ludzie, co jak się urodzi, to od razu jest stary. Ja taki byłem, zżawsze byłem za spokojny i nawet się bałem. Pprzecież jak mi ten inżynier zżaproponował przed wojną żebym wstąpił do partii, to nie chciałem i nawet nie wiem do dzisiaj do jakiej, bbo się nie pytałem. Nnawet potem jeszcze czasem coś dla nich robiłem, ale się nie zapisałem. Niech pani pomyśli prawie czterdzieści lat w tym samym miejscu. Nniech mi pani wierzy, że to nie jest nudne. Jak się człowiek zżyje z miejscem, to jak kot, nie może się odzwycząić. Robota też jest ciekawa. Jak rozbiorą jaką wielgachną maszynę, zznaczy się reperują, a potem to jak żywe samo się rusza tylko ma się rozumieć trzeba naprzód dać pas, żeby pędził. Taak, źle mi tam nie było, dla mnie zżawsze starczało i odłożyło ssię troszkę i ccoś się kupiło. Kkanarka też ssobie kupiłem. To już teraz niedawno. Ładnie śpiewał. Organki też mam. Nnawet przy sobie, nnie-mieckie, oni mmają ddoobre organki. Ppusto, smutno jakby trochę, to myślę sobie kupię organki. Ssyn sąsiadki trochę mnie nauczył, a resztę sam. Mmaciuch, zznaczy się kanarek, czczasem mi pomaga, szczególnie jak fałszuje — taki bbestia dowcipny. Mmoże pani zagrać?

— Co pan, jeszcze tu ten zżandarm przyjdzie.

— Jja żartuję.

— Niech pan mówi dalej.

— To zznaczy, że ppani słucha, to dobrze.

I wie pani, ogródek też miałem. Nnie był mój, ale ppozwalali mi w nim posiedzieć. I tak się jakoś żyło. Bezbarwne to może życie, ale każdy ma takie na jakie zasłużył, nno nie? I dopiero ssię potem okazało, że nie jestem ttaki spokojny jak wyglądam. Bbo ja wie pani, jeszcze za tamtej wojny pracowałem w Westfalii i mówię dobrze po niemiecku, tto nnawet mi się czasem pytali czemu nie jestem folksdojczem, bo i nazwisko ni takie ni siakie. Tto jak nie chciałem, to mnie już potem nie lubili i ttak jakoś zżuczłem im się w oczy. Pprzedtem też mnie znali, bo rozumiałem po ichniemu a i tłumaczyłem czasem było trzeba a najwięcej to werklajterowi. Ale od czasu kiedy im odmówiłem, to patrzyli na mnie zezem. Wwie ppani?

Ppani zupełnie niewygodnie siedzi, niech się ppani lepiej opprze. A mmoże się pani spróbuje przedzierać, tto pani dobrze zrobi. Pprzecież wszyscy jakoś drzemają.

— Niech pan mówi, spać nie będę, bo się boję, a jak pan mówi, to zapominam o wszystkim, uspakaja mnie pan.

— Nnaprawdę?

— Naprawdę.

— Tto dobrze, ale już niewiele jest do opowiadania. Tto jak mówiłem, z werklajterem nie lubiłem się, bbo ja jego też nie lubiłem i kkiędys zaczął bić tokarza żżelazną rurką, zza nic, zza to, że mu się nie ukłonił na czas. Niech ppani powie, czy człowiek przy maszynie, która hałasuje może słyszeć, że kto nadchodzi i to od tyłu. Nnawet ja w narzędziowni, gdzie nie ma już takiego hukku, też nie zżawsze się ukłoniłem na czas, a cco dopiero taki tokarz. No to zaczął go bić rurką, a ja pproszę pani ssmam już nie wiem jak, wyskoczyłem z tej narzędziowni i nawet nie ppoomyślałem, że kto może mi coś ukraść przez ten czas i ppodleciałem do tego rajchsdójcza — bbo tto był prawdziwy rajchsdójcz, a nie żaden farbowany foksi i zacząłem na niego ssttrasznie krzyczeć, a on na mnie z tta rurką, nno to go uderzyłem w twarz ssmam nie wiem kiedy i tto pierwszy raz w życiu uderzyłem tak kogoś. Nnawet nie mocno i zza to mnie zabrali i wsadzili do więzienia. A jjjak mnie tam bbiłi, mówię pani i za co, że uderzyłem Niemca i tto tak lekko, że się nawet nie przewrócił?

— Niech mi pan tego nie opowiada, mnie też boli.

— Nniech pani t takich rzeczy nie mówi, jja też nie jestem z żżelaza, jja chciałem tylko pani pomóc, bbo ppani t tak bbarżdo płakała. Nnie miałem nic innego do opowiedzenia żeby ppanią rozerwać, tylko to co mi się przytrafiło. Aale pewnie nie trzeba było teego robić.

Nno niech pani znów tak bardzo nie płacz, bbo nie warto, ssumiennie pani mówię.

ZBIGNIEW RUSZEL

OPOLE

WYRÓŻNIENIE

Debiut

★ ★ ★

gdybym żył w tamtych czasach

Cervantes Lenin Gogh Mozart mówiliby

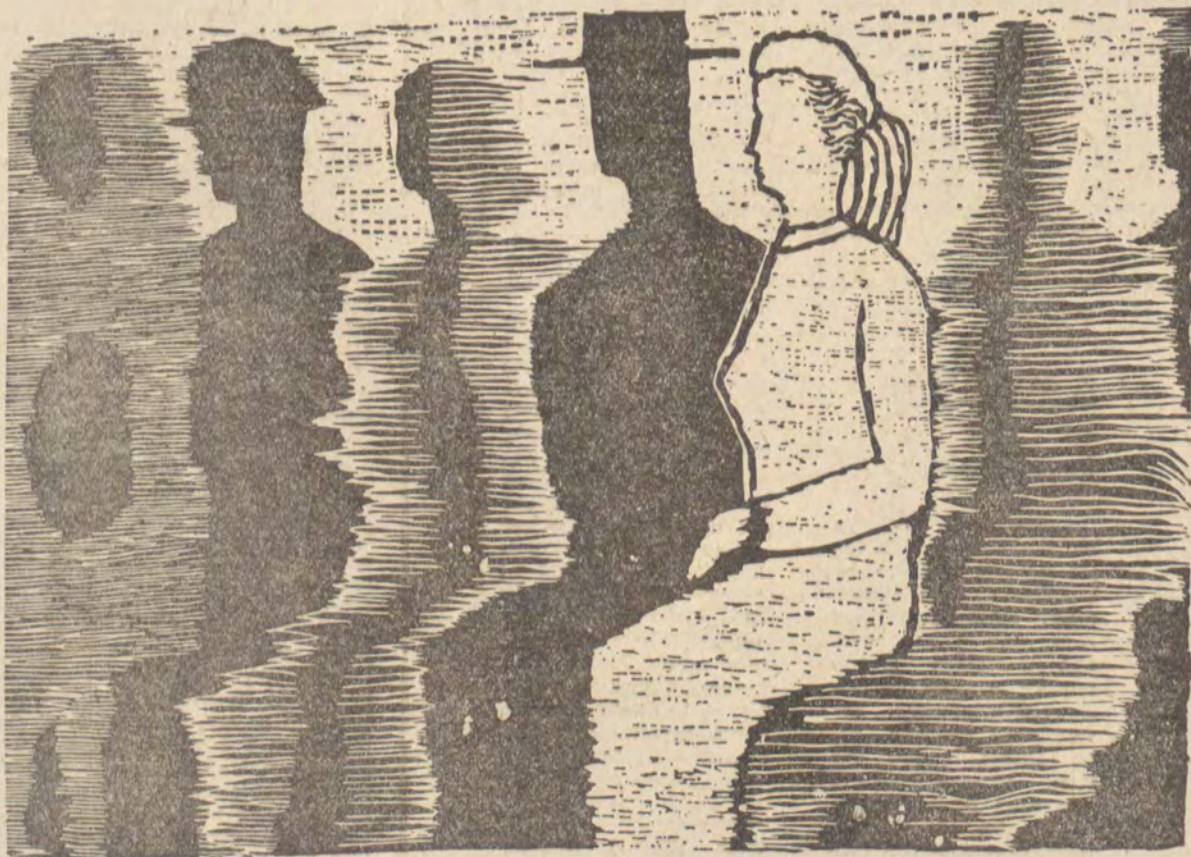
ty

skocz no po ty wpadnij jutro

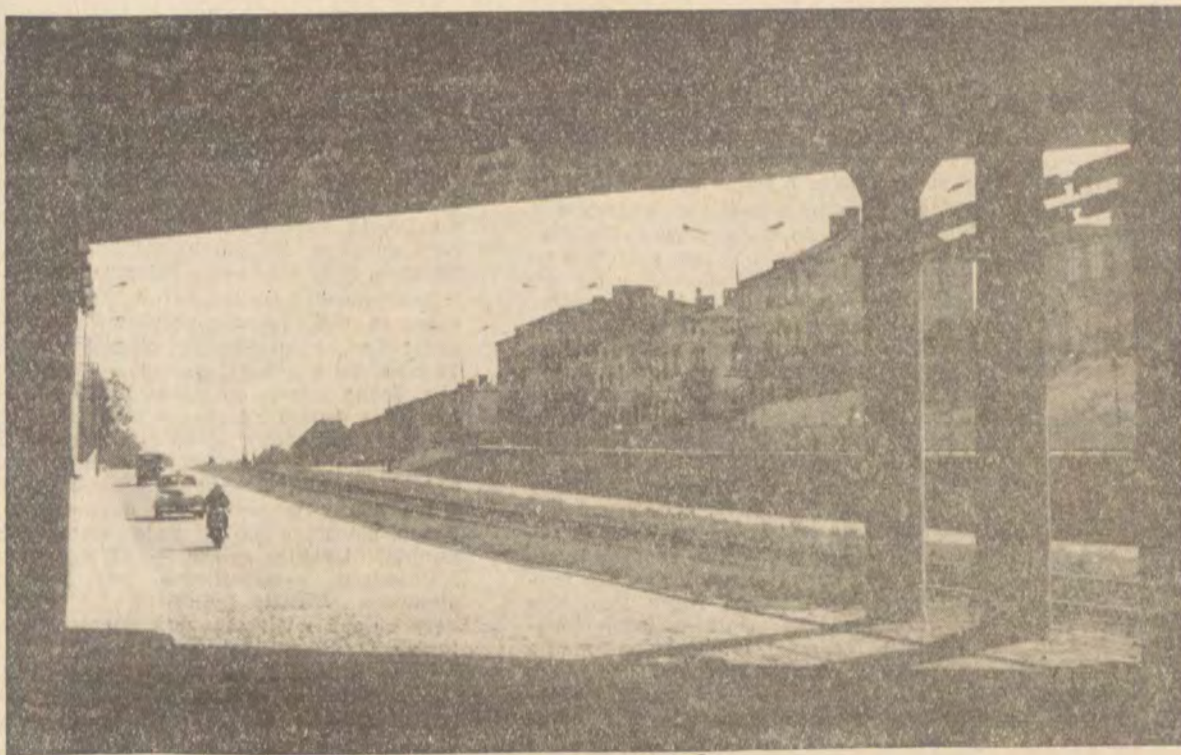
gdybym żył w tamtych

żyję inni mówią ty

skocz no ty wpadnij żyję



„OCZEKIWANIE” — Jerzy Cichecki (linoryt)



WIADUKT

Fot. W. Parys

POLONICA

FRANCUSKI ODCZYT W WARSZAWIE

Staraniem polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) odbył się w Warszawie niezmiernie interesujący odczyt p. Jacques Teynier o Montaigne'u. Od czasów Boya zainteresowanie wielkim pisarzem francuskim jest w Polsce znaczne, przetłumaczył on bowiem i opublikował całość słynnych „Prób” (czyli książek, którą prawdopodobnie czytał Hamlet przed rozmową z Poloniuszem na dziedzińcu Elsynoru). Jacques Teynier, doskonały znawca francuskiego esesysty renesansowego, omówił jego twórczość w świetle najnowszych badań, przeprowadził też ciekawą paralelę z pisarzami współczesnymi, m. in. z Albertem Camusem. Na odczyt przybyli m. in. pisarze i romanściści, tacy, jak Aleksander Bocheński, Stefan Flukowski, Jerzy Lisowski, prof. Jerzy Parvi.

DOBRAZYŃSKI PO CZESKU

Nakładem wydawnictwa Wysehrad w Pradze ukazała się piękna książka Jana Dobrazyńskiego „Wy-

czepać morze” w znakomitym przekładzie Lubomira Nakiadała, w nakładzie 22 tysiące egzemplarzy. Poprzednio już wydano po czesku „Listy Nikodemu” Dobrazyńskiego. „Wyczepać morze” otrzymało w Czechach piękną szatę graficzną i atrakcyjną okładkę. Na „skrzydełku” obwoluty nazwano naszego pisarza „polskim Greenem”.

JĘZYK POLSKI W SZKOLACH FRANCUSKICH

W Warszawie, Krakowie i Wrocławiu bawił rektor Uniwersytetu w Lille, prof. Guy Deberre wraz z prof. literatury polskiej na tym uniwersytecie, prof. Wacławem Godlewskim, tłumaczem poezji Słowackiego na język francuski. Odwiedzili oni m. in. Czytelnię Francuska. Rektor Deberre poinformował, że w kilku liceach departamentu Nord wprowadzono ostatnio naukę języka polskiego, a będzie też ona wprowadzona w dalszych. Na uniwersytecie w Lille 100 słuchaczy studiuje polonistykę. Zainteresowanie językiem polskim we Francji stale warasta. Uniwersytet w Lille jest związany umową wzajemnej pomocy i współpracy z Wszechnicą Wrocławską.

WYSTĘPY „MAZOWSZA” WE FRANCJI

Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” wyjechał na występy gościnne do Francji, gdzie w dniach od 11 marca — 8 kwietnia br. odbędzie tournée po następujących miastach francuskich: Lens, Lille, Paryż (Théâtre des Champs Elysees, 16-28 marca), Roubaix, Toulon, Aix-en-Provence, Cannes, Lyon, Dijon). W występach weźmie udział 120 osób, ubranych w 1100 kostiumów.

LAUREACI CZESKIEJ POLONII LITERACKIEJ

Działająca przy hucie trzynieckiej grupa pisarzy polskich GL-63 rozpisala konkurs literacki, którego wyniki ogłoszono ostatnio. Nagrody uzyskali: znany na terenie Zabolia działacz i literat Gustaw Przeczek za opowiadania i wiersze, zmarły przed kilkoma miesiącami pisarz ludowy Adam Wawrosz za sztukę i humoreski ludowe oraz Karol Sajdok i Jan Palowski za utwory poetyckie.

B. LEŚMIAN PO CZESKU

Po wyborach wierszy C. Norwida i J. Kochanowskiego na czeskich pół-

kach księgarskich pojawił się trzeci zbiorek poetyki polskiego autora. Tym razem znany tłumacz Jan Pilar sięgnął do dorobku Bolesława Leśmiana. Warto zaznaczyć, że jest to pierwsze czeskie wydanie książkowe wybitnego poety polskiego. Bardzo przychylnie o tomiku Leśmiana, będącym wyborem spuścizny poety, wypowiedziała się redakcja radia ostrawskiego.

O IWASZKIEWICZU I ANDRZEJEWSKIM W AUSTRII

Najnowszy numer wiedeńskiego miesięcznika literackiego „Literatur und Kritik” przynosi dwie recenzje książek autorów polskich.

Peter Henisch omawia „Lad serca” Andrzejewskiego, wyrażając pogląd, że niemieckie tłumaczenie tej powieści jest wyraźnie spóźnione. Na tle późniejszych dzieł tego pisarza jego pierwsza powieść nie robi większego wrażenia. „Lad serca” przełożył Oskar Jan Tauschinski.

Ten sam autor recenzuje też „Matkę Joannę od Aniolów” J. Iwaszkiewicza w przekładzie Klausa Staemmlera. Chwali tę sfilmowaną nowelę za ciekawie zarysowane sylwetki psychologiczne bohaterów oraz trzymającą w napięciu fabułę utworu.

(er)

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

POEZJA MORALNEGO AKTU

Przyzwyczajony się, że debiutami z kręgu wielbiących wdzięki Kalliope w swych pierwszych zbiorach wierszy zmagają się z zasadniczymi sprawami formalnymi, raz po raz ujawniając w tej dziedzinie swe nieumiejętności, podpadając w sztuczność, barokową metaforykę, bądź prozajizm. Wybór więc poetyki jest zadaniem pierwszoplanowym i zwrócić krytyk, jeśli nie może przypisać młodego adepta pióra do tej, czy innej poetyckiej szkoły. Wówczas najłatwiej zaszerzować go do „nijakich”. Debiutanci tomik Grzegorza Kościńskiego „Z tamtego brzegu” w niemało władnie przysparza recenzującemu kłopotów tego rodzaju.

Wiersze Kościńskiego nie mieszczą się w żadnej z dwóch współczesnych tendencji poetyckich; ani w awangardowo-lingwistycznej, ani też w poetyce neoklasycyzmu. Poeta nie jest zainteresowany autonomizacją sztuki poetyckiej czy języka, jak również powtarzaniem w czasie toposów. Stąd też zagadnienia estetyki utworu czy z kolei poezji o ukierunkowaniu historycznym schodzą na plan dalszy. Mimo że Kościński w zasadniczych założeniach odbiega od wspomnianych nurtów, to nie trudno znaleźć w jego wierszach wpływów lektur współczesnych poetów. Wpływy te są bardzo szerokie — od Eliota i Rilkego po łódzkiego jego rówieśników: Biskupskiego, Świętochowskiego i in. Różnorodność owych zauroczeń nie pozwala na wytyczenie jednej generalnej linii, tym bardziej że nie sprzyja temu dość chaotyczny i nieczym specjalnie nie uzasadniony układ zbioru. Tom podzielony jest na trzy części, które nie sposób uznać za cykle: „Utożsamienia”, „Słowo”, „Pietno”. Z czym, z kim się autor utożsamia w takich wierszach jak tytułowym, czy „Festel” lub w „Starej samotnej kobiecie”? Część druga, zatytułowana „Słowo”, wydawać by się mogło, że dotyczyć będzie zagadnień autotematycznych, możliwości języka poetyckiego. Tytuł jest tak wieloznaczny, że wszystko można pod niego podciągnąć, również wiersze z innych dzieł. Jeszcze najbardziej uzasadnionym tytułem naparzona jest część ostatnia, w której poeta sięga po przytoczone sprawy etyki i metafizyki. W „Pietnie” też zawarte są najlepsze wiersze zbioru.

Wychodząc z założenia, że świadomość intelektualna jest wstąpieniem moralnej, Kościński poczyna prowadzić dyskurs, o ile nie polemikę z obiegowymi wartościami etycznymi, demaskując ich nieprzystawalność do ludzkiej sytuacji. Rewaloryzacja pojęć etycznych jest jednym z zadań tej poezji. Jest w tym wszystkim nieufność w stosunku do totalizacji poprzez propagandę życia duchowego człowieka. Nieufność ta ma wiele wymiarów, nieufność także do drugiego człowieka, jako, że w każdym z nas może czaić się potencjalny...

z tłumu wypatrufaj cię oczy
mordercy
na swoim karku czujesz ten
wszechobecny wzrok

wiecznie przynależny do kogo
innego
w którym każdy zamysł jest
echem spełnionego czynu
bezustannie tropisz sam siebie
podejrzewasz się o czyny, które
czytasz w innych
(„z miłości i nienawiści”)

Doskonały wyraz społecznej psychologii. Ujęcia tego typu prowadzą wprost do katastrofizmu, do rozważań eschatologicznych. Jest w tym z jednej strony prawda o naszych czasach, lecz z drugiej kryje się niebezpieczeństwo pesymizmu, o ile nie nihilizmu. Kościński nie widzi rozwiązania dla pryncypiów etycznych jednostki, dylenaty sprowadza do negacji sensu naszego istnienia. I nie tylko naszego. W wierszach o zabarwieniu metafizycznym, czy nawet religijnym istotę Boga ujmuje po nietscheańsku, obnażając go z boskości. Pozostaje więc tylko postawić znak zapytania przed dalszym rozwojem poetyckim Kościńskiego, dla którego punktem wyjścia jest w zasadzie nihilizm. Dokąd można dojść przy takich założeniach? No, ale my przynajmniej nie bądamy pesymistami.

Wskazać trzeba, że do takiej postawy prowadzi poetę także nadużywanie wielkich słów, symboli, opis uczuć nie w pełni przeżytych, które nazwałbym literackimi. Nie najszcześliwiej wypadła podpatrywanie T. S. Eliota („Pustynia”); jest ono bardzo powierzchowne. U anglosaskiego poety uogólnienie czy wielokrotnie są zasadniczo, nie konkretnie londyńskiej ulicy, mostów, kanałów, morskich wybrzeży, a także lekturami dzieł sanskryckich i biblijną egzegezą. U Kościńskiego od początku do końca „krajobraz posuchy i upału” jest fikcyjny, jest krajobrazem symboli, przez co wieloznaczność osiąga niebywale granice i na dobrą sprawę wiersze te czytad można we wszystkie strony.

Kościński jest jednym z tych liczonej grupy poetów, dla których tradycja zaczyna się od poezji, i filozofii dwudziestowiecznej. Mając pokatane umiejętności warsztatowe, dużo intuicji poetyckiej przy odpowiednim wyborze tradycji można naprawdę dokonać naprawdę wiele nowego, zwłaszcza, gdy zakłada się taki program, jak w cytowanym fragmencie z wiersza „Słowo”. Jeżeli można cokolwiek poradzić i wierzyć w skuteczność jakiegokolwiek porad, to osobliwie radziłbym poecie, aby głębiej i wnikliwiej kontynuował ów nurt poezji metafizycznej i aktu moralnego zapoczątkowany np. prozą poetycką „Z konieczności” czy „Ogrzezeniem”.

*) Grzegorz Kościński, Z TAMTEGO BRZEGU, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1971, s. 57.

Przeszłość i terażniejszość

Wedle danych, pochodzących z 1935 roku, poza obszarem Rzeszy Niemieckiej ukazywało się w języku niemieckim 1691 pism, od dzienników po dwutygodniki. Najwięcej, bo aż 444 wydawano w Szwajcarii, na kolejnych miejscach znalazły się: Czechosłowacja, Austria, Stany Zjednoczone, Francja, Rumunia i Polska (71 tytułów). Zestawienie to wymaga komentarza. Dla Austriaków, podobnie jak dla znacznej części Szwajcarów język niemiecki jest językiem narodowym, więc prasy ogłaszanej w tych krajach po niemiecku nie można zawsze identyfikować z tym, co nazywamy niemiecką prasą zagraniczną. Przyjmując tę konieczną poprawkę okazuje się, że w połowie lat trzydziestych Polska wysunęła się na piąte miejsce w świecie pod względem liczby tytułów wydawanej prasy niemieckiej. Podczas gdy przeprowadzane w międzywojennym dwudziestolecu spisy lud-

ności ukazywały coraz wyraźniej zmniejszanie się liczby Niemców w naszym kraju, prasa niemiecka, po krótkotrwałym zatamaniu bezpośrednio po wojnie, liczyła coraz więcej tytułów mimo, że jej globalne nakłady stale i wyraźnie malały. Jest również niezmiernie charakterystyczne, że o ile w okresie międzywojennym widocznie malała ilość tytułów niemieckiej prasy codziennej wydawanej w Polsce, to proporcjonalnie wzrastała liczba tygodników, w 1935 roku przekraczając nawet stan z 1919 r. Potrzeba naukowego zbadania ważkiego instrumentu kształtowania oblicza mniejszości niemieckiej w Polsce w okresie międzywojennego dwudziestolecia nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dlatego też z zaciekawieniem bierzemy do ręki książkę Tadeusza Kowala „Prasa niemiecka w Polsce 1918—1939. Powiązania i wpływy”, która ukazała się nakładem „Książki i Wiedzy” (1971). Nie dzi-

wimy się, (że podejmując tak rozległy problem, autor musiał dokonać pewnych samoograniczeń i dlatego poza zakresem jego refleksji pozostały publikacje ukazujące się w cyklach półrocznym czy rocznym, nie mówiąc już o wydawnictwach książkowych. Niemniej płodne okazało się

spodarcze głosy wyższość niemieckiego sposobu gospodarzenia; czasopisma młodzieżowe nie nastrojały młodego pokolenia Niemców w Polsce do lojalności wobec państwa, w którego granicach przyszło mu żyć; prasa związkowa współkształtowała oblicze światopoglądowe pracowników; czasopisma

główny nurt rozważań autora skupił się wokół prasy w ten czy inny sposób instrumentalnej w stosunku do różnych kierunków politycznych w Rzeszy Niemieckiej zarówno w czasach republiki weimarskiej jak po dojściu Hitlera do władzy, przecież nie umknęła z jego pola widzenia i prasa ośrodków opozycyjnych, przede wszystkim socjalistycznych. Koncentracja uwagi na prasie nacjonalistycznej i faszystowskiej znajduje swoje uzasadnienie w samej materii badanego przedmiotu. Jeszcze w okresie przedhitlerowskim trzy czwarte ogólnej liczby gazet o charakterze politycznym, wydawanych w języku niemieckim w Polsce, reprezentowało kierunek nacjonalistyczny, podczas gdy „do programu socjalistycznego lub socjaldemokratycznego przyznawały się trzy gazety”.

„Prasoznawcy niemieccy — pisze T. Kowalak — historycy i publicyści z okresu do zakończenia II wojny światowej stali bez wyjątku na stanowisku, że władze polskie w sposób

szczególnie konsekwentny i złośliwy tępiły prasę niemiecką w Polsce”. Twierdzenie to nie znajduje poparcia w obszernym materiale dokumentacyjnym, jakim dysponuje historyk prasy. Konfiskaty — na przykład w Łodzi w 1933 r. — w większym stopniu dotyczyły niemiecką prasę socjalistyczną, niż nacjonalistyczną i hitlerowską; widocznie tę ostatnią uważano za mało niebezpiecznego przeciwnika. W odniesieniu do prasy niemieckiej w ogóle — stwierdza T. Kowalak — konfiskaty zdarzały się... rzadziej, niż w stosunku do polskiej prasy opozycyjnej. Dlatego też historyk polemizując ze wspomnianym mitem miał prawo pisać o lepszym położeniu dziennikarzy niemieckich w Polsce, niż redaktorów polskich gazet opozycyjnych. Wolno też mu było ponowić — w oparciu o niewyzyskany dotąd materiał — niejednokrotnie formułowany już zarzut, że władze międzywojennej Polski nie dokonywały niebezpieczeństw niemieckiej propagandy...

JÓZEF GRZELAK

Prasa niemiecka w Polsce 1918-1939

wykrócenie poza ścisły zakres tzw. prasy politycznej, w potocznym słowa znaczeniu, skoro zdecydowanie polityczny charakter miały również i inne pisma niemieckie. „Niemiecka prasa religijna — pisze T. Kowalak — będąca w wielu środowiskach jedynym rodzajem słowa drukowanego, nie stroniła od tematyki związanej pośrednio, lub nawet bezpośrednio, ze sprawami politycznymi; periodyki go-

kulturalne i naukowe wytworzyły specyficzne więzi w środowisku niemieckich intelektualistów, działaczy politycznych i społecznych. Wszystkie te rodzaje prasy z prasą polityczną na czele oddziaływały na poszczególne warstwy mniejszości niemieckiej i tworzyły złożony instrument rozprzestrzeniający w przeróżnych płaszczyznach sądy i informacje, kształtujące oblicze tej mniejszości”. Aczkolwiek

TERESA WOJCIECHOWSKA

PIĘKNA POSTAĆ WYMAGA OFIAR



Stwierdzenie takie przeczytałam kiedyś w jednym z podręczników pielęgnacji zdrowia i urody. O głębokiej prawdzie w nim zawartej przekonałam się niedawno, kiedy jedna z moich koleżanek redakcyjnych przyszła do redakcji zgięta we dwoje, z wyrazem cierpienia w oczach i pudełkiem mleka w proszku w torbie. Dzień pracy rozpoczęła od przygotowania sobie szklanki mleka. Wydarzenie było tak niezwykle, że wszyscy, w oniemieniu, pozwoliliśmy się poczęstować owym płynem. Przegrzając kluszczyki, które wytworzyły się ze źle rozmieszanego mleka, wysłuchaliśmy zwierzenia koleżanki. Otóż postanowiła ona zrzucić kilka zbędnych (jej zdaniem) kilogramów wagi i rozpoczęła dietę odchudzającą.

Dieta ta przewiduje spożywanie jednego dnia samych owoców, drugiego — wyłącznie białego sera, trzeciego — gotowanego mięsa, czwartego — ryby, piątego — jajek na twardo, szóstego — mleka. Wszystko w dowolnej ilości, byle tylko ten jeden produkt. Przy jajkach na twardo zaprotowała watra naszego koleżanki. Przy mleku ona sama straciła serce do odchudzania. A szkoda, bo efekty są podobno gwarantowane. Po jednym tygodniu traci się trzy kilogramy, po dwóch sześć, a nawet więcej, bo ochota do jedzenia jest coraz mniejsza. Tak, że kontynuując ową dietę przez wiele tygodni można dojść do wagi dowolnej, a nawet ujemnej.

Niestety, większość kandydatek do pięknej postaci, tak samo jak nasza koleżanka, traci ochotę do ponoszenia ofiar. I szybko uzupełnia braki w organizmie konkludując, że łatwiej jest wytrzymać zła figurę niż jeździć.

Konflikt między chęcią posiadania smukłej sylwetki, a upodobaniem do jedzenia jest tak powszechny, że tysiące

specjalistów od racjonalnego żywienia starają się komponować dietetyczne jadłospisy pod hasłem: „Jak dobrze zjeść, żeby schudnąć”. Kolebka wszelkich diet jest Hollywood, bo wiadomo, że dla gwiazdy filmowej sylwetka ważniejsza jest niż talent. Diet sa setki, a każda z nich mówi co innego. Jedna, że się tyje od tłuszczu, inna, że od węglowodanów, jeszcze inna, że od białka i tak dalej i dalej. Natomiast nie słyszałam nigdy o diecie, która by powiedziała, że tyje się od wszystkiego, co się je w nadmiarze. Że tyje się od jedzenia między podstawowymi posiłkami i od jedzenia późnym wieczorem. Ale przepraszam, bo zaczynam wkraczać w kompetencje dietetyków, a nie to jest moim zamiarem.

Tak więc diet jest nieskończenie wiele. Najprostsza wydaje się zalecana przez Liz Taylor, która mówi, że aby zachować piękną sylwetkę należy jeść kawior bez chleba i pić szampana bez babelków. Jest to jednak dieta dla naszych pań raczej niepraktyczna, podobnie zresztą jak większość diet pochodzących z Hollywood. Zalecają one bowiem picie masami soków pomarańczowych i grape-fruitowych oraz mnóstwo innych rzeczy w naszych warunkach dość trudnych do osiągnięcia. Befszyki z polędwicy, sok, surówki, kiełki pszeniczne, kapsułki tranowe, drożdże piwne do mleka, jogurtu, soku pomarańczowego — oto niektóre tylko dodatki do cudownych diet hollywoodzkich.

Jedną z ciekawszych jest dieta Johana Schrotha, która polega na przeplataniu „dni suchych” „dniami pitnymi”. W dni suche nie pije się w ogóle żadnych płynów, jedząc posiłki pozbawione soli, tłuszczów, mięsa i białka, natomiast w pozostałe, „dni pitne”, pije się wina ile dusza zapagnie, zagryzając je białym pieczywem lub sucharkami. Dieta ta ściera do sanatorium pana Schrotha licznych entuzjastów takiej kuracji, która daje samą radość. Bowiem dni spędzane przy winie upływają w znakomitym nastroju, natomiast w „dni suche” po prostu się odsypia „dni pitne”.

A skoro jesteśmy przy alkoholu, to pamiętajmy, że: „zamiast 100 gramów mię-

sa wołowego możemy wypić kieliszek słodkiego wina. Kieliszek szampana zastąpi nam talerz zupy z płatków owsianych dwa kieliszki ajerkoniaku lub likieru mają równowartość całego posiłku”. Tak więc z butelką „Adwokata” na przykład można zamknąć się na cały tydzień nie dbając o żadne posiłki.

W ten sposób, niemal niepostrzeżenie, zbliżyliśmy się do diety polskiej. To znaczy do diety, która polskim gustom najbardziej odpowiada. Wiadomo, że my nie przepadamy za surówkami, jarzynami, sokami, naszą specjalność to kotlet i kielbasa. Oto więc propozycja nie do pogardzenia: Mięso i tłuszcz nie powodują tycia. Tuczaco działają dodatki: sosy śmietanowe i mączne, potrawy mączne, ziemniaki, kluski, sól, leguminy, cukier. A więc dość głodowania! „Może Pani jeść rano, w południe i wieczorem solidny sznycel, kotlet, rumszyk, lub kawał polędwicy. Może on ważyć za każdym razem 25 dkg, ale nie wolno odcinać tłuszczu! Na trzy części mięsa przypadać musi jedna część tłuszczu. Niech Pani pije przy tym sześć do ośmiu szklanek świeżej wody. Najlepiej mineralnej. Ponadto do każdego posiłku filiżankę kawy lub herbaty. Jako dodatek do obiadu i kolacji: dwa ziemniaki gotowane w mundurach, lub cienka kromkę opieczzonego chleba, albo też dwie łyżki gotowanego na sypko ryżu. Na deser jabłko, pomarańcza lub filiżanka słodzonych jagód”.

Nie chciałabym jednak, by nasze Czytelniczki posadziły mnie o złośliwość. Bo jakże inaczej można wytłumaczyć pisanie o dietach w numerze świątecznym, w okresie kiedy życie towarzyskie i rozrywkowo-kulturalne skupia się przy stole i ogranicza do zakazania i popijania. Otóż zaraz się z tego wytłumaczę. Bo wprawdzie siedzimy przy stołach i jemy, ale przyjemność mamy w jakimś stopniu zatruta tą świadomością, że jednak idzie nam w biodra. Ja pragnę więc polecić dietę, która rozwieje wszelkie wątpliwości i w proch zetrze ostatnie skrupuły.

Jest to cudowna dieta bezwęglowodanowa — amerykańska dieta sił powietrznych (US-Air-Force-Diet), stosowana przez amerykańskich pilotów, ze znakomitym podobno skutkiem. Proszę się nie zrażać faktem, że dietę tę rozpowszechniły i poleciły w Polsce „Szpilki”, bo choć pismo jest humorystyczne, ale w każdym żarcie kryje się zawsze choć odrobina prawdy.

Żeby było całkiem inaczej, dieta ta oblicza wartości nie w kaloriach lecz w punktach. Przy tym posiłki trzeba dobierać tak, by nie przekroczyły 40 do 60 punktów dziennie. Lista potraw jest dłu-

ga, wybrałam więc tylko po kilka przykładów z poszczególnych działów. Dieta ta ma kolosalną zaletę, przewiduje bowiem potrawy, które nie mają w ogóle punktów. Po prostu zerowe dla tycia. Do nich należą na przykład: 100 gramów wędzonego lub świeżego łososia i węgorza, porcja pieczeni cielęcej wieprzowej, kaczkę, gęsi, kury, indyka, zająca czy sarny. Porcja wynosi około 45 dkg. Również zero punktów ma około 22 dkg smalcu. Ta sama ilość masła ma już jeden punkt.

Znacznie większa ilość punktów oznaczona są potrawy zawierające węglowodany. Czwierć kilograma buraków to już 16 punktów a jeden ziemniak — 21 punktów. Jedna morela obciążona jest 5 punktami, zaś ćwierć kilograma rabarbaru, to już istna katastrofa — 98 punktów, czyli wyżywienie na dwa dni. Równie groźne są suszone morele — pięć małych sztuk i już mamy w organizmie 50 punktów. Jedno gotowane jajko daje nam pół punkta, 1/5 litra mleka — 12 punktów. Najbardziej katastroficznym jest jednak pieczywo. Niecałe pół kilograma ciemnego chleba wiejskiego lub pumpernika, to 250 punktów.

Dieta ta jest więc rewelacją, jakiej jeszcze nie było. I dogadza każdemu, zarówno temu, kto chce jeść, jak i temu kto nie chce (na przykład splacając samochód). Bo oto pięcioma suszonymi morelami lub dwoma ziemniakami możemy załatwić całodzienną pożywnie uzyskując pożądaną ilość punktów od 40 do 60. A z drugiej strony możemy najęść się po samo gardło pozostając na zerze. No bo na przykład jeśli 100-gramowa porcja węgorka nie daje w ogóle punktów, to każda ilość węgorka pomnożona przez zero nie da nam również punktów. Jeśli bowiem dobrze pamiętam ze szkoły, to zero pomnożone przez każdą liczbę pozostaje zawsze zerem. A więc, przy świątecznym stole wystarczy wybrać sobie tylko potrawy oznaczone zerem punktów i jeść je bez ograniczeń. Możemy zjeść pół metra węgorka, combor sarni, całego zająca, ćwiartkę cielęciny na zimno i wciąż jesteśmy na zerze. Dopiero gdy dolożymy do tego czterdzieści jajek na twardo i dwie suszone morelki osiągnąmy należne nam minimum 40 punktów. Resztę możemy wydać na coś słodkiego.

Życzę więc wszystkim smacznego przy świątecznym stole. Pragnę jednak zaznaczyć, że nie przyjmuję żadnych reklamacji w sprawie skutków stosowania wyżej opisanych diet, a szczególnie ostatniej. Ewentualne uwagi kierować proszę na adres US Air Forces (prawdopodobnie w Waszyngtonie) albo do redakcji „Szpilki”, Warszawa, Pl. 3 Krzyży 16.



LÓDZ, ze względu na bliskie sąsiedztwo z Brzezinami, miała najbardziej rozwinięty w handlu konfekcyjnym. Gros sklepów mieściło się po obydwu stronach ulicy Nowomiejskiej, na Zgierskiej, na Placu Wolności. Tu najtaniej można było kupić gotowe ubranie czy palto. Na Główną, bliżej śródmieścia, ceny były już wyższe, choć towar ten sam; na Piotrkowskiej płacono się jeszcze więcej. Tutaj zresztą, poza sklepami z konfekcją brzezińska, znajdowały się również elitarne magazyny mody jak „Bracia Hesse” czy „Schmechel i Rosner”, nastawiane na inną już publiczność.

Konkurencja wśród konfekcyjników panowała olbrzymia. O klienta toczono formalne walki, w czym rolę dominującą spełniali tzw. „naganiacze”, otrzymujący procent od każdego sprzedanego dzieła ubrania.

„Naganiacze” mieli swe plakietki w promieniu kilkunastu metrów od sklepu, a jeśli pod jednym numerem były dwa sklepy konfekcyjne, pracowali w szczególnie trudnych warunkach. Krząc po chodniku i wystakując na jeźdźnię, gdy z tramwajów wysiadali pasażerowie, wypatrywali w ludzkim kłębowisku amatorów

kupna konfekcji. Reflektantami byli przeważnie przybysze ze wsi i małych miasteczek podlódzkich. Wprawne oko wylawiało ich nieomylnie z ciżby przechodniów. I gdy upatrzony klient wolnym krokiem podchodził do wystawy sklepowej, „naganiacz” kilkoma susami doskakiwał doń, jedną ręką ujmował go za tyłu za kolarierz, drugą otwierał drzwi sklepu i zręcznym ruchem wpychał przybysza do środka, pomagając sobie nieznacznie uderzeniem kolana niżej pleców Kupiec, obserwujący ulicę przez szybę, podbiegał do wejścia i zaniem klient zdążył wypowiedzieć słowo, ścigał z niego płaszcz lub marynarkę, a w tym samym momencie wspólnik czy ekspedient zdejmował z haka jakiś model z atrakcyjnym „mustrem”.

— Ubranko dla pana? Już się robi! O, to będzie w sam raz. Niech pan tylko przymierzy, przekonana się pan!

Klient poddawał się bezwolnie skaczącym koło niego ludzom, spoglądając od czasu do czasu w lustro, by sprawdzić jak leży na nim tak gorąco zachwalany garnitur.

— Spodenki za długie? To drobniarz. Skróćmy na poczekaniu, przez ten czas może pan przejrzy dzisiejszą gazet-

kę. Bardzo ciekawe wiadomości Włosi dostają lanie w Abisynii!

I wówczas trafiali się klienci nietypowi. Spodnie były w sam raz, tylko marynarka nie pasowała do figury, była za luźna. Ale klienta nie wolno przecież wypuścić ze sklepu! Ściągnięcie z tyłu paru fald wprawna ręką właściciela ratowało sytuację. Teraz już

ADAM OCHOCKI

UBRANKO DLA PANA?

marynarka leżała bez zarzutu. Pozostawała jeszcze sprawa najważniejsza — ubicie targu.

— Ile ma kosztować to ubranie? — pytał klient, nie dając po sobie poznać, że za-

leży mu specjalnie na nabyciu garnituru.

— Niech pan najpierw zobaczy ten materiał. Proszę, co? Najlepszy kamgarn eksportowy. Ja panu powiem prawdę, nawet nie opłaca się z takiego echt materiału szyć ubrań. Co ja będę zresztą opowiadał...

— No, więc ile?
— Jak dla pana?

— Pan nie wie, co mówi! Z taką podszewką? Ile pan daje?

— Pięćdziesiąt złotych.
— Słowo honoru, szanowny pan powinien występować w teatrze jako komik. Pięćdziesiąt złotych za takie ubranie? Ha, ha, ha! Mnie samego kosztuje siedemdziesiąt, a tę dziesiątkę kupiec musi zarobić na podatki i lokal?

ke mogę dolożyć i to jest moje ostatnie słowo — zarzeka się klient, naciskając kłamię.

— Co się pan zaraz obraża? Proszę, pan pozwoli, Panie Lolku, zapakować!

Bywało też inaczej. Klient wychodził na ulicę, właściciel sklepu wyczekiwał dyplomatycznie kilka chwil, a widząc, że tamten zdecydowanie zmierzając dalej, wybiegał za nim na ulicę i zwracał go. Powtarzało się to kilka razy. Jedna i druga strona chciały się nawzajem zgniebić uporem.

Albo inna scena. Kupiec, widząc po minie klienta, że czeka go ciężka przeprawa i kto wie, czy w ogóle dojdzie do porozumienia co do ceny, wolał nagle:

— Kieszonko! Zobacz pan tylko te kieszonki!

Klient zapuszczał rękę do kieszeni i — nieruchomił. Pod palcami wyczuwał obecność metalowego krawka, a dokładnie — srebrną pięćdziesiątówkę. Wtedy nie targował się już tak zawzięcie i popieszczenie unosił ze sklepu nabytek, nie wiedząc, że kupiec opuściłby mu znacznie więcej, niż wynosiła wartość „znalezionego”.

Wśród właścicieli sklepów konfekcyjnych trafiali się istni mistrzowie, którzy z całą pewnością mineli się z po-

„Odgłosy“

1 kwietnia 1972 r.

nr 2

PRZEDRZEŻNIANIE STAŁO SIĘ JUŻ TRADYCYJNYM ZWYCZAJEM TEGO KWIEŃNIOWEGO DNIA. KIEDY WSZYSCY ROBIĄ SOBIE NAWZAJEM PSIKUSY. SKROMNĄ SERYJKĘ PARODII — ZAPOCZĄTKOWANĄ ROK TEMU I KWIEŃNIA — KONTYNUUJEMY I W TYM ROKU W PRZEKONANIU, ŻE NIE OBRAŻA SIĘ SPARODIOWANI AUTORZY „ODGŁOSÓW”, ANI — TYM BARDZIEJ — CI, KTÓRYCH NIE SPARODIOWANO.

JERZY WILMAŃSKI



Kolejna, inwazyjna wojsk reżimu przeciwko patriotom przegrywa coraz większe rozmiały. Czołowe ugrupowania posuwają się wzdłuż drogi. Tematyka ta z pewnością przez pewien czas pozostanie stałym komponentem naszych przeglądów wydarzeń.

W stolicy Francji toczą się dalsze rozmowy. Podobno obie strony zgodziły się co do konsekwencji. Tematyka ta z pewnością przez pewien czas pozostanie stałym komponentem naszych przeglądów wydarzeń.

Odbiła się burzliwa demonstracja młodzieży, która niosła plakaty z hasłami. Tematyka ta z pewnością przez pewien czas pozostanie stałym komponentem naszych przeglądów wydarzeń.

W. Wiesławski

PREZENTACJE

JAN KOWALSKI

- Czy to przyjemnie być Janem Kowalskim?
- Tak sobie.
- Jest Pan przedstawicielem ogromnej rzeszy Kowalskich, czy odczuwa Pan jakąś więź ze wszystkimi imiennikami?
- Taką sobie.
- Jan Kowalski to już właściwie symbol. Jak więc się Pan czuje jako symbol przeciętnego człowieka?
- Tak sobie.
- Czy przy okazji tego wywiadu chciałby Pan komuś złożyć życzenia powodzenia w pracy i życiu osobistym?
- Tak. Sobie.

Rozmawiała: Magda Bodaj



BOHATEROWIE I FABULA

Pasjonująca to książka, choć akcja toczy się dość

niemrawo. Natomiast niedostatki fabuły wynagradza nam z nawiązką różnorodny kalejdoskop bohaterów. Spotykamy na kartach tej — jakże potrzebnej — publikacji właściwie wszystkie grupy zawodów. Powolna akcja przenosi nas z fabryk do instytucji, do mieszkań prywatnych, a nawet do poczekalni kinowych, kiosków „Ruchu” i kabin wolnostojących. Ciekawa książka.

J.W. „Spis telefonów m. Łodzi”, Wyd. Komunikacji i Łączności 1971 r.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Jest to film wybitny, tak w swojej zupełnie niezrozumiałej idei, jak i w dość wątpliwych dokonaniach artystycznych. Ale jest to film trudny i wymagający absolutnego skupienia. Utrza w nim potrójność znaczeń i demystyfikacji

sloganów, dokonana przez wybitnego artystę kina. Jest to więc film wybitny, choć trochę szkoda, że realizatorom zabrakło oddechu, aby go uczynić jeszcze wybitniejszym.

E. Wanurczyńska

„ODGŁOSY” — tyg. społeczno-kulturalny. Redaguje zespół: „Red. Naczelny — Jan Koprowski („Literatura na Świacie”, „Literatura”), Karol Badziak (Praska, Pałacno, Teofilów), Konrad Freidlich (usprawiedliwiony), Roman Łoboda (w godz. 14-15), Andrzej Makowiecki (Jasz Band, Tiger Rag, Niemen Enigmatie), Celina Paluch (Łódź, Jerzego B), z-ca Red. Naczelnego — Włodzimierz Stokowski („Paris Match”, „Spiegel”, „Life”, „Ogoniok”), Jerzy Wilmański (krótkowidz z widokami), Sekretarz Redakcji — Teresa Wojciechowska (La Scala, Metropolitan Opera, Teatr Wielki), Bogda Madej (blondynka). Prenumeratę przyjmują z pocelowaniem ręki wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch”. Redakcja nie zwraca żadnych pożyczonych książek.



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Film zaczyna się tam, gdzie wysiłki geografii i geometrii określiły środek Polski, bohater „UCIEC JAK NAJBLIŻEJ” mieszka bowiem w Piątku koło Łodzi. Kończy się film obrazem geograficznego konturu Polski, w środku którego znów znajdujemy naszego bohatera. Rama filmu metaforycznie znacząca ma zatem, że jesteśmy w Polsce samej. Znaki symboliczne i metaforyczne mają to do siebie, iż sugerują znaczenia głębsze i refleksje uogólniające. Film Janusza Zaorskiego tych sugestii nie spełniwszy, po trosze rozczarowuje, jego grzechy są jednak dość typowe dla debiutów i twórczych. Sugerować, że obraz

i słowo znaczą więcej niż znaczy, budować symbole wyrastające ponad dzieło i nie znaleźć dla nich potwierdzenia w materiale — to częste w debiutach zabieg i pomyłki. Odnajdujemy je w filmie Zaorskiego w dość znacznej obfitości i właściwie nie powinniśmy przyjąć wobec nich postawy pobłaźliwości. Nie bardzo ją lubią inteligentni twórcy i nieczemu ona nie służy. Wytknąwszy je popatrzymy jednak na „Uciec jak najbliżej” bez gniewu, który rodzi się często z najlepszych intencji, a u których podłoża leży troska o dobry film polski.

Nie można nie pamiętać, iż temat „Uciec jak najbliżej”

kwalifikuje ten utwór do tej grupy filmów, w której odnotować można największe artystyczne porażki. Temat współczesny, film o młodych to w ostatnich latach tylko tak okropne propozycje, jak: „Maty”, „Kto wierzy w bociany”, „Zabijcie czarną owcę”. Nie wspomina tu twórczości Skolimowskiego, to już prawie historia. W porównaniu zaś z tamtymi tytułami, film Zaorskiego zastępuje na życiwość, choć może od twórcy, który jest równieśnikiem bohatera swego filmu, można by żądać więcej wnikliwości w obserwacji świata młodych. Z drugiej strony wydaje się, że zamierzeniem realizatorów była próba uchwycenia pewnej banalności świata, w którym żyje bohater filmu.

Z samego zamysłu fabularnego, w którym opowieść zawiera się w pewnych zamkniętych partiach odpowiadających poszczególnej etapie podróży bohatera, wynika ta cecha filmu, która jest z jednej strony jego słabością, z drugiej zaś — świadectwem możliwości reżysera. Słabością jest niewątpliwie to, iż z tych okruczeń obserwacji, z poszczególnych, luźno skomponowanych sytuacji nie wynikają większe sensy znaczące. Jednocześnie w kilku spośród tych zamkniętych całości potrafił Zaorski zmanifestować znakomity sposób budowania sytuacji filmowej i jej atmosfery, wspomnijmy tu choćby pierwszą część sekwencji w szpitalu, czy bójkę na burzonym polu. W innych, zwłaszcza tych, w których dominuje towarzyszy Bartka, pan kierowca, doskonale grany przez Józefa Nalberczaka) widać zbyt silne piętno doskonałej często, ale skoczowej sytuacji.

Przypadek sprawia, że drugi, przedstawiany dziś film, jest przykładem sytuacji odwrotnej — regresu twórczego artysty, który przed laty dostarczał wrażeń, które do dziś się pamięta. Regres ten trwa zresztą

EWA NURCZYŃSKA

TELEOBIEKTYW

Redakcja Filmów Telewizyjnych zaprezentowała pierwszą „Telewizyjną premierę miesiąca”, którą stanowił fabularny film TVP „Opowieść” (scenariusz — Janusz Jaremczyk i Marek Wortman, reżyseria — Marek Wortman, zdjęcia — Jacek Prosiński, opieka artystyczna — Janusz Majewski; emisja — 18. III 1972). Reguła przy okazji takich premier mają być rozmowy przed kamerami z twórcami filmów. Tym razem w rozmowie wziął udział reżyser M. Wortman i współautor scenariusza J. Jaremczyk oraz red. Witold Rumel, który program prowadził.

Swoje wrażenia uszereguje więc w dwóch częściach. Pierwsza będzie dotyczyła filmu, a druga rozmowy, która — od razu to sygnalizuje — bardzo mi odbiór filmu popsuła. „Opowieść” nie jest dostojnym debiutem Wortmana, gdyż ma już za sobą film dokumentalny zrealizowany w kinematografii profesjonalnej. Niemniej jednak jest to jego pierwszy film fabularny. Dość licznie atakują dziś te dziedziny młodzi absolwenci PWSFTviT, co pozwala z większą nadzieją patrzeć w przyszłość naszej sztuki filmowej, zgodnie z zasadą, że ilość przechodzi w jakość. Obserwując życiwość te próby, nie należy jednak zanikać kryteriów oceny. Tego wymaga szacunek dla młodych twórców.

Nie mogę z pełnym aplauzem napisać o zaprezentowanej przez telewizję próbie Wortmana. To prawda, że reżyser wybrał sobie drogę nie najłatwiejszą, redukując do minimum wątek fabularny (z opowiadania Marka Nowakowskiego, które posłużyło za materiał przy opracowaniu scenariusza, niewiele z woli reżysera pozostało w filmie), operując w tkance nastrojów i niedopowiedzeń. Ale życie małomiasteczkowe, jego klimat w filmie Wortmana (w przeciwieństwie do tkwiącego głęboko w realiach i autentycznie pisarstwa Nowakowskiego) sztuczne, nieprzekonywające. Jak to często, niestety, bywa u naszych filmowców, jest i u Wortmana próba zastąpienia prawdy życiowej manierą, udziwieniem, pseudozagadkowością. Gdy wspomnieć, jak posilny pokarm znajdują w obserwacji codzienności twórcy kina czeskiego, z żalem odnotować trzeba rozpowszechniony w naszych filmach fabularnych brak wiary w atrakcyjność zwykłego, nie upiększonego życia.

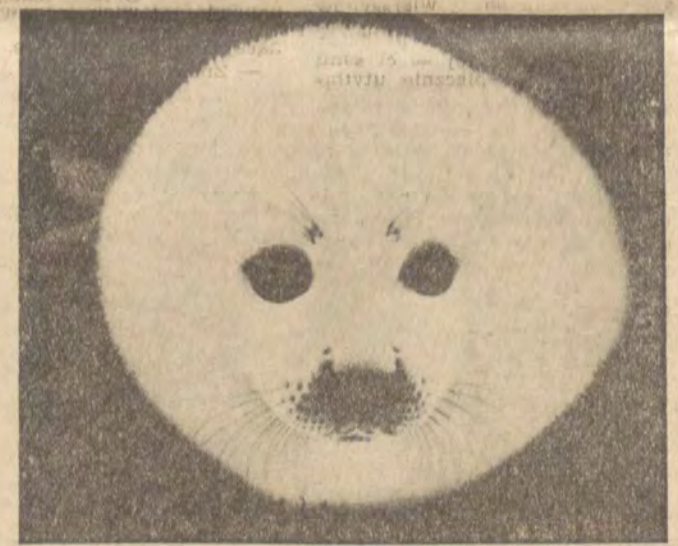
Historia młodego człowieka (gra go Leszek Litołcki), który chce żyć własnym życiem i nolatka przed macierzyńskim uczuciem starszej pani (Byszarda Hanin), która straciła w czasie okupacji syna w jego wieku, przeprowadzona jest w sposób nie angażujący widza. Słabą stroną filmu jest szczególnie dialog. (A propos: ktoś to w Polsce w II połowie XX wieku zwraca się do kogoś per „on”?) Jeżeli sam film przyniósł mi pewne rozczarowanie, to już wręcz zryzykowałem moje następujące po nim spotkanie z realizatorami. Nie jestem przekonany, czy młodego reżysera o niewielkim jeszcze dorobku należy z miejsca maglować na temat: co pan przez to chciał powiedzieć? Jest coś znużającego, w samym założeniu takiej rozmowy. Ta droga zmusza się młodego twórcę do nieskromności i do nieautentycznych, wudymanych wypowiedzi rzekomo związanych z tego warsztatem.

Nie wiem, czy Wortman i Jaremczyk wiele mieli na temat swego filmu do dodania ustnie. Wydaje się, że kropka kończąca wypowiedzi postawiona była na ekranie. Jeżeli jednak chcieli coś interesującego powiedzieć, to im na to nie pozwolił skutecznie red. Rumel, zadając pytania bezsensowne.

Jedno z nich brzmiało mniej więcej tak: czy nie sprawał panu trudności (to było adresowane do reżysera) fakt, że film był właściwie trzykrotnie pisany — raz w postaci scenariusza, drugi raz — scenopisu, a trzeci — podczas zdjęć na planie? Wortman odpowiedział jakos „przejmie, ale powinien być rzec: ależ, drogi panie, te trudności napotyka każdy reżyser przy każdym filmie. Skoro więc wybrałem ten zawód...

Trudno mi było potem zdobyć się na entuzjazm w stosunku do „Opowieści”. „Telewizyjny premier miesiąca”. Uważam, że program jest pomyślny wadliwie. Może lepiej byłoby gdyby prezentowane filmy oceniali na gorąco inni, a nie ich twórcy?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



spektakle tygodnia

za okres od 13 do 20. III. 1972 r.

TEATRY	tytuł	liczba spektakli	liczba widzów	procent
WIELKI	„Aida”	1	1120	89
	„Zemsta nietoperza”	1	1050	83
	„Madame Butterfly”	1	1250	100
	„Henryk VI na łowach	1	1250	100
	„Białowłosa”	1	800	83
NOWY	„Królewna Śnieżka”	1	1200	94
	„Zołnierzy i bohater”	4	2800	100
MALA SALA	„Opowieści lasku wiedeńskiego”	2	1250	90
	„Idiota”	2	1400	100
POWSZECHNY	„Prometeusz”	1	700	100
	„Urodziny”	3	420	70
JARACZA	„Koccol”	3	600	100
	„Ociec królowej”	3	2094	100
7.15	„Królewskie polowanie na słońce”	1	550	82
	„Perla”	3	2004	100
OPERTKA	„Wilki”	1	510	94
	„Szklanka wody”	1	531	100
„Bal w operze”	„Dwudziesta noc”	2	1077	99
	„Ania z Zielonego Wzgórza”	1	951	100
„Bal w operze”	„W pustyni i w puszczy”	1	531	100
	„Tredowata”	3	125	100
„Bal w operze”	„Leztern”	2	790	100
	„Rachunek nieprawdopodobieństwa”	1	410	98

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MÓWI
LEW TOLSTOJ

Ostatni, jaki do nas dotarł, nr 2 z br. radzieckiego miesięcznika dziesiętkowego pt. „Krugozor” przyniósł w części płytowej niezwykłą rzadkość — nagranie głosu Lwa Tolstoja. Jest to pierwsza publikacja głosu wielkiego pisarza rosyjskiego. Zapis poddany był zabiegom odrestaurowania, lecz mimo wszystkich usiłowań trzeba się dobrze wstrzymać, aby odróżnić poszczególne słowa. Lepiej nie udało się tego wykonać, gdyż Lew Tolstoj mówił do fonografu, skonstruowanego dopiero na kilkanaście lat przedtem. Przypomnijmy, że fonograf, wynalazek Edisona powstał w roku 1878. Zapis dokonywany był na obracającym się walcu woskowym w postaci spiralnego rowka.

Płyta z nagraniem głosu Tolstoja, „Krugozor” zaopatruje w części tekstowej w komentarz Szklowski. „Ludzki głos — pisze Wiktor Szklowski — niesie w swej intonacji to, czego nie można w pełni oddać poprzez słowo pisane”.

Po raz pierwszy Lew Tolstoj mówił do fonografu w roku 1895 a zapisu dokonał Julij Blok, z zawodu etnograf. Pisarz w owych latach marzył o naprawie ludzkiej doli przez religię, sądząc, że nieszczęścia jakie spadają na ludzi są wynikiem ich grzechów. Do fonografu Lew Nikolajewicz Tolstoj czytał swoje opowiadanie pt. „Kajający się grzesznik”, przy czym grzesznikiem tym miał być, według jego mniemania, on sam. Zapis kończy się słowami Tolstoja: „Mówił Lew Tolstoj”. Głos Tolstoja brzmiał młodo, choć pisarz miał już 67 lat. Jego młodzieńczy głos zawsze zadziwiał współczesnych.

Później Lew Tolstoj jeszcze kilkakrotnie rejestrował swój głos na walcu fonografu. I tak zachował

się zapis z roku 1908. Były to czasy ciężkie. Gdy rewolucja z 1905 roku nie zwyciężyła, sypały się wyroki śmierci, ginęli rewolucjonści i buntujący się chłopci. Czytając każdego dnia w dziennikach o wyrokach śmierci, o zabijaniu chłopów, Tolstoj wyrażał swe wzburzenie podkreślając, że zabija się wieśniaków, którzy karmią przeciwników. „Nie wolno tak żyć — mówił wzburzony Tolstoj do fonografu. Każdego dnia tyle wyroków śmierci, tyle kaźni. Teraz pięć, jutro siedem. Dziś powieszono dwudziestu chłopów. Dwadzieścia śmierci...” Oburzenie swe wyraził następnie w obszernym artykule pt. „Nie mogę milczeć”.

Nie mógł milczeć — komentuje Szklowski. Mógł



Lew Tolstoj. Grafika Ju. Kosmyrina

mówić, ale pisarz nie mógł usunąć zła, które widział. I nie znalazł przyczyn zła. Tolstoj sądził, że lekarstwem na niedole ludzi będzie powrót człowieka do natury, że cała ludzkość winna wrócić na łono przyrody i zajmować się pracą na roli. Otrzymał listy, w których czytelnicy oskarżali go, że owszem innych namawia do surowego życia wiejskiego, ale sam żyje jak pan. Namawiano go by wyniósł się na wieś. I Tolstoj rzeczywiście wyjechał do Jasnej Polany, gdzie żył bardzo skromnie, gdzie pracował dużo i w niewygodzie. Dręczony go jednak wyrzuty sumienia, że nie pracuje na roli i własnym potem i trudem nie zdobywa kawałka chleba. W jednym z swych nagrań na fonograf usprawiedliwiał się z tego z sercem przepełnionym żalem, a jest to głos pełen nabrzmiałego uczucia, troski, serdecznej o ludzi i wiary w ludzkość. Ten głos pozostał na zawsze utrwaloony i choć trudno nam dziś od razu odróżnić słowa, słyszymy intonację tego głosu, której nic nie może zastąpić. Dodajmy, że Tolstoj był jednym z niewielu ludzi, którzy pierwsi utrwaliли swój głos.

KOREAŃSKI ZESPÓŁ ŚPIEWU I TANCA W PARYŻU

W Paryżu występował ostatnio zespół Mansoudal z Pyonyng, zespół śpiewu i tańca z Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Powstał on w roku 1945 i uważany jest za najlepszą grupę artystyczną w Korei Północnej. Przed przybyciem do Paryża, zespół występował w Moskwie, Wiedniu, Helsinkach, a teraz wyjechał do Genewy, by potem odwiedzić Włochy. Grupa składa się z baletu, chórzystów i solistów oraz muzyków. Muzycy posługują się instrumentami zarówno tradycyjnymi koreańskimi jak i współczesnymi, używanymi na całym świecie. W



baletcie występuje dwadzieścia uroczych, uśmiechniętych dziewcząt. Chórzystki i solisci — to szesnastolatki dziewcząt ubranych na biało i czerniastu młodych mężczyzn. To co najbardziej interesujące w tym pięknym spektaklu to fakt, że tradycja łączy się tu harmonijnie ze współczesnością. Śpiewy i tańce zatytułowane np. „Zbiór jabłek” czy tradycyjny „Taniec z dzwoneczkami” sąsiadują z pieśniami i tańcami wyrażającymi współczesne, społeczne i patriotyczne uczucia ludu koreańskiego.

POWIEŚ PISANA KOLEKTYWNIE

Czy książka będzie bestsellerem? Nikt tego jeszcze nie wie. Ale eksperyment jest ciekawy. Na czym on polega? Oto francuski powieściopisarz Henri-Francois Rey czyta przed mikrofonem francuskiego radia, odcinek powieści. Następnie słuchacze przysyłają propozycje dalszego fragmentu. Rey wybiera najlepszy. Jego zdaniem odcinek, adiu-kuje go i następnie odczytuje przez radio, sam nie wiedząc jak potoczy się dalsza akcja. W każdej takiej audycji pisarz omawia pokrótce i inne ciekawostki nadesłane fragmenty. Temat powieści był z góry podany przez Reya. Oto 50-letni mężczyzna, pisarz, po latach spotyka swego syna, którego zupełnie nie zna, a który przez lat kilkanaście wy-

chowowany był jedynie przez matkę. Ojciec zabiera się teraz do wychowania młodego człowieka, lecz dzieje się tak, że to raczej syn edukuje ojca. Powieść ma się ukazać w formie książki jeszcze w tym roku.

IMPRESJONISTI WCIĄŻ ODKRYWANI

W „Journal de Geneve” Jean-Luc Duval omawia dwie książki o impresjonistach, napisane przez Jeana Leymarie: „Grafiki impresjonistów” i „Impresjonizm”.

Choć od narodzin impresjonizmu minęło około stu lat, ten kierunek artystyczny cieszy się wciąż dużym zainteresowaniem. Mimo, że napisano o nim wiele tomów, temat nie jest, jak się okazuje, całkowicie wyczerpany. Dwie ostatnie książki Jeana Leymarie traktują o na ogół mało znanej grafice impresjonistów.

Impresjonistów nie byli entuzjastami grafiki, sądzili bowiem, że nie wyrażali ona ich założeń artystycznych. Claude Monet twórca i przywódca impresjonizmu nie interesował się w ogóle grafiką. Natomiast uprawiali ją Degas i Pissarro. Renoir dopiero za wyraźną namową marchanda Vollarda stworzył kilka barwnych litografii.

Najbardziej charakterystyczną cechą grafiki impresjonistów jest to, że w przeciwieństwie do grafiki tradycyjnej, zauważamy znacznie mniejsze przywiązywanie wagi do wyraźnej linii konturu na korzyść światłocieni i ew. oddania ruchu.



Pissarro: Portret Cezanne'a, fragment, (akwaforta, 1874)

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- R. ŁOBODA — Czas „międzyłódzkowy”
- J. POTĘGA — Z prochu powstałe...
- T. GIGIER — Dwa listy oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.



HELLEN
ZNACZY GREK

SKĄD HELLADA W POLSCE? ▲ WOJENNE LOSY ▲ SZTUKA KRAJU DZIECIŃSTWA ▲ TOURNEE PO KRAJU RAD ▲ TELEWIZYJNY FILM ▲ OJCZYŻNA SZTUKI ▲ W TORONTO I ODESSIE ▲ MUZYKA NA ETACIE ZESPOŁU

Hellen znaczy mieszkanie Hellady, czyli Grek. „Hellen” nazywa się zespół estradowy, którego wizja rodziła się w Łodzi i któremu przewodzi dziś dyrektor i kierownik artystyczny Paulos Raptis, związany z Łodzią od lat, choć urodzony w Grecji. Niedawno mieszkańcy województwa łódzkiego mieli okazję spotkać się z tym oryginalnym zespołem — warto więc chyba poświęcić polsko-greckim artystom s. w. parę.

Największe skupiska

greckich uchodźców politycznych znajdują się na Dolnym Śląsku i w Szczecinie, ale przecież i w innych miastach Polski znani są choćby Paulos Raptis — tenor, czy Nikos Chadzinikolaou — poeta, żyjący dziś w Poznaniu. Przypomnijmy ten koniec 1949 roku, kiedy to Rząd Wolnej Grecji przegrywał z potężną brytyjską interwencją zbrojną wspomaganą przez amerykańskie dostawy broni. Od tamtej klęski wiedzie już prosta droga do dzisie-

szego rządu pułkowników wstawionego obozami koncentracyjnymi dla greckich patriotów. Pamiętamy, jak cała postępowo Europa walczyła przed laty o życie dla skazanego na śmierć Glezosa, pamiętamy, jak niedawno postępowo Europa walczyła o wolność dla Theodorakisa...

Ale mało kto pamięta, jak w owym roku 1945 postępowe kraje Europy przyjmowały pod swoją opiekę tysiące dzieci greckich, osieroconych w walce z faszystem hitlerowskim, rodzimą reakcją i obcą interwencją. Te greckie dzieci wyrosły na polskiej ziemi — dziś są to już dorośli, wielu z nich wzbogaca kulturalny dorobek Polski.

Myślę, że warto przypomnieć te fakty, pisząc o zespole artystycznym „Hellen”, kierowanym przez Paulosa Raptisa, który wiaząc swe osobiste losy na trwałe z Polską — nie wyrzekł się pięknej i cennej sztuki kraju swego dzieciństwa. Podobnie jak wszyscy zrzeszeni w Związku Uchodźców Greckich, którzy na deskach estrady, pod kierownictwem muzycznym Dżakosa Kostasa — śpiewają i

tańczą, prezentując sztukę swego kraju, ojczyzny wszelkiej sztuki.

W przerwie między prawie trzymiesięcznym tournée po Związku Radzieckim, a wyjazdem na stypendium do Paryża, rozmawiamy z Paulosem Raptisem. Mówi on: „Jest nas jedenaścioro — tancerze w greckich strojach, muzycy, śpiewacy. Prezentujemy przeboje muzyki greckiej, utwory znane z międzynarodowych festiwałów, kompozycje Theodorakisa, Morakisa, Muzalis, Zabetosa, Wozokopulosa. Są wśród nas i ci, którzy urodzili się w Grecji a do gościnnej Polski przybyli w latach 1949-50, są i tacy, którzy już urodzili się w Polsce. Społeczeństwu polskiemu chcemy zaprezentować sztukę i folklor Grecji w formie autentycznej, nieskażonej. A jednocześnie artystyczną działalnością pomagamy naszym rodakom, nie tylko przypominając greckie słowo i melodie, ale przeznaczając połowę dochodów z naszych imprez na cele Związku Uchodźców Greckich.

Jak się już rzekło, zespół wrócił niedawno ze Związku Radzieckiego,

Występował tam prawie trzy miesiące w Moskwie, Leningradzie, Wilnie, Astrachaniu, Taszkencie i na Krymie. Radziecka telewizja nakręciła z występu „Hellen” półgodzinny film estradowy, a w prasie ukazało się wiele entuzjastycznych recenzji. „Wieczniuryj Taszkient” pisze na przykład w artykule „Hellen — melodie Grecji” o pięknie brzmiących głosach solistów, o urzekającym kolorycie narodowych tańców, o „złotym głosie” tenora Paulosa Raptisa.

Zespół „Helen” spotyka się z uznaniem wszędzie tam, gdzie daje koncerty, czy to będzie Odessa czy Pabianice. Właśnie w Pabianicach miałem okazję zobaczyć i usłyszeć muzykę Hellady współczesnej, zdomowionej wśród polskich równin. Greckie muzy na etacie zespołu przypomnieli, że żyją wśród nas i z nami obywatelsko polscy, wywodzący się z górystych ziem Hellady, wnoszący swój wkład w polską kulturę i prezentujący nam kulturę dalekiego kraju swego dzieciństwa.

JERZY WIDOK

Bez strachu

BUDYNEK PRZEZNACZONY DO ROZBIÓRKI

Od wielu już lat widziałem na wielu domach, częściej na domkach tabliczki z napisem: „Budynek przeznaczony do rozbiórki”. Przechodząc myślałem o mieszkaniach tych już nie „domów” lecz „budynków”. Tabliczki ostrzegaly — trudno powiedzieć przed czym. Kiedy spotykałem kogoś, kto mieszkał w podobnym budynku, patrzyłem na niego ze współczuciem, z lękiem niemal... Dlaczego — przecież to jasne, że ten człowiek nie będzie bezdomny, otrzyma mieszkanie, prawdopodobnie bardziej higieniczne, nowoczesne w innym budynku, który powoli zacznie dla niego stawać się domem. Dlaczego — przecież ten człowiek nie poniesie strat materialnych, ani moralnych, nie jest napiętnowany, można do niego odnosić się z niezmiernym zaufaniem, nie ma do czola przytwierdzonej tabliczki z ostrzeżeniem. Kiedyś, przed laty, poświęciłem parę godzin oglądaniu podwórka domów ulicy Główniej, dobrze, bo tych domów już teraz nie ma. Stawałem w bramie, stawałem pośrodku podwórka, gapiłem się długo w okna. Ludzie podchodzili do mnie i pytali: „Proszę pana, czego pan tu szuka?” Jak im miałem odpowiedzieć, że słyszę tam jakieś głosy? Jak te brzydkie podwórka krzyżowały się z przelotną brudną, zapłutą krzywdą tych wszystkich, którzy tu pomarli, zadręczając sąsiadów ostrym, bezustannym kaszlem. Każdy płat tynku, każdy popękany stopień schodów pełen był czyjejs rozpacz... My, ludzie, przesadnie wierzymy w naszą niezniszczalność, albo przesadnie wierzymy w naszą zniszczalność całkowitą, bezwzględna. Prawda tej zawilej sprawy leży gdzieś pośrodku. Podobnie jak deski podłogi, materace łóżek, dźwigają nasze ciała. Jak zimne, napięte szyby nie ustępują pod ciężarem ciała, jak ściany wytrzymują ciężar gorących rąk. Tak i my udzielamy siebie deskom podłogi, materacom, szymbom, ścianom. Psychologujemy materialny świat przedmiotów każdą myślą i uczuciem. Jesteśmy ze sobą zrośnięci, w siebie włączeni, krążą między nami energie mocne jak muzyka, jak elektryczność. Dlatego człowiek z „Budynku przeznaczony do rozbiórki” to człowiek wydarty, to człowiek, który dopiero otrzyma przedmioty wokół których się oplecie. Obecnie jest on osierocony, często myśli, że tęskni za przedmiotami, a tęskni za ludźmi, często myśli, że tęskni za ludźmi a tęskni za przedmiotami. Być może przeczuwa, że kiedyś, za wiele lat, w czasie bezsennej nocy, zateśni za skrzypleniem desek dawno już „rozbranej” podłogi. Być może w ciągu dnia wyciemie przypominaną w ciągu sekundy nocną tęsknotę. Wejście do łazienki, weźmie tusz. Cóż. Budynek przeznaczony Na Rozbiórkę został już rozbrany. Czy całkowicie?

BERNARD SZTAJNERT

